NAFTA I KREW- Michał Mońko

Chodzi o naftę, w której od dziesięcioleci pławią się wielcy tego świata. Nazwa jest tylko pewnym aspektem sytuacji na Bliskim Wschodzie. Pewne aspekty katastrofy humanitarnej w Syrii albo w Iraku określają nazwy: „misja dla pokoju”, „misja stabilizacyjna”, „misja obserwacyjna”, „misja rozdzielenia wojsk”, misja „iracka wolność”, misja „kolorowa rewolucja”, „misja wdrażająca” etc.

Pokojowo brzmiące nazwy skrywają wojskowe zaangażowane wielkich mocarstw, współczesnych feudałów, na terenach nafty i krwi. Współcześni feudałowie, to ci, którzy mogą zacząć wojnę, nałożyć sankcje i mogą wciągć do wojny swych współczesnych wasali, obiecując im w przyszłości opiekę i pomoc. To wszystko już było, ale ludzie mają krótką pamięć.

Moi wujkowie, kiedy na początku 1943 roku znaleźli się z Armią Andersa w Iraku, bronili terenów naftowych przed oddziałami Kurdów. Obiecano im wolną Ojczyznę, gdy w Teheranie Roosevelt z Churchillem oddawali Polskę Stalinowi.

Dzisiaj jesteśmy na frontach Bliskiego Wschodu, ale nie ma nas w Yad Vashem. Tam zostali dopuszczeni współcześni feudałowie: USA, Wielka Brytania, Niemcy, Francja, Rosja. A gdzie Polska? Polska tam, gdzie wasale: w okopach Iraku, Syrii, Afganistanu, Kosowa.

Znowu są obietnice pomocy i nazwy, i słowa. Nazwy misji pomagają dziś usprawiedliwić przed światem interwencję wojskową na Bliskim Wschodzie. Niezawisłość Iraku jest taką sama fikcją, jak to, że obce wojska w Iraku działają dla pokoju, oferując pomoc materialną dla szkół i szpitali.

Obce wojska nie wycofały się nawet wtedy, gdy Rada Federacji Iraku zażądała zakończenia obecności tych wojsk w Iraku. Ale misja „iracka wolność” funkcjonuje dalej. Polskie wojsko nadal pełni w Iraku „misję szkoleniową”.

Wojska pełniące w Iraku „misję” rozwożą po Iraku różne dary, niczym koraliki odkrywców Ameryki. To ma ocieplić wizerunek okupacyjnych wojsk. Ale nie ociepla, a czyni wiele zła. Fałszywa przykrywka wojskowych działań, podszywanie się wojska pod działalność charytatywną, czyni pracę rzeczywistych pracowników humanitarnych bardzo niebezpieczną.

Lekarze bez Granic (Doctors Without Borders); pracownicy Agencja Pomocy Uchodźcom (UNHCR) The UN Refugee Agency; pracownicy Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża (ICRC) International Committee of the Red Cross niejednokrotnie są traktowani jak wojsko.

Zaciera się bowiem różnica między żołnierzami i pracownikami organizacji pomocowych. Nafta miesza się z krwią, krew miesza się z nafta. Misje pokojowe, realizowane przez wojsko, policję i oddziały najemników, z reguły polegają na łączeniu przemocy z podbojem serc i umysłów, co daje zgubne skutki dla idei pomocy humanitarnej.

Operacje wojskowe, zwane „misjami”, prowadzone przez rządy zaangażowane w wojny o naftę i wpływy, niweczą bezinteresowną działalność misji humanitarnych. Jan Engeland, sekretarz generalny Norweskiej Rady ds. Uchodźców (Norwegian Refugee Council) uważa, że ludzie przyjmujący pomoc muszą wierzyć, że pracownicy humanitarni są w ich krajach dla jednego tylko celu: żeby ulżyć w cierpieniach.

„My nie oferujemy żadnego politycznego rozwiązania, nie mamy żadnych celów poza jednym: przeciwdziałać niehumanitarnym działaniom jednych przeciw drugim poprzez współczującą, ratującą życie pomoc”.

W rejonach konfliktów pracownicy organizacji Doctors Without Borders albo organizacji UNHCR, a nawet ICRC są najczęściej wspomagani, zastępowani albo ubezpieczani przez wojsko, które jednocześnie wykonuje swoje zadania militarne. Na przykład w Afganistanie żołnierze wraz z cywilnymi pracownikami, wchodzącymi w skład Provincial Reconstruction Teams, świadczyli do niedawna podstawową opiekę zdrowotną, kopali studnie i wykonywali inne zadania.

Śmierć pracownika misji humanitarnej powoduje albo może spowodować wycofanie się organizacji z pierwszej linii pomocy. W roku 2017 MKCK zawiesił działalność w Afganistanie po zabiciu sześciu pracowników Czerwonego Krzyża. Szef operacji pomocowej w prowincji Dżozdżan, Dominik Stillhart, powiedział: „Nie jesteśmy stroną w tym konflikcie i dlatego nie akceptujemy sytuacji, w której dokonywane są ataki na ICRC”.

Od kilkunastu lat wojsko strzela i leczy, bombarduje i stabilizuje, chroni tereny naftowe, rurociągi i porty. Zdarza się, że personel wojskowy podczas „humanitarnych” akcji zajmuje się także zbieraniem danych wywiadowczych. Nie ma wówczas jasności, czy oddział jest organizacją humanitarną, czy jest tylko okupacyjnym wojskiem. Na wszelki wypadek bojownicy strzelają pierwsi, a pracownicy humanitarni pierwsi giną.

Strony konfliktu strzelają zarówno do „humanitarnego” wojska, jak i do „zmilitaryzowanych” pracowników humanitarnych, których miejscowi identyfikują nierzadko jako szpiegów.

Polscy żołnierze z Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie także biorą udział w zarówno w akcjach humanitarnych, jak i w akcjach czysto wojskowych, podobno tylko szkoleniowych.

„Jeśli zatrze się różnicę miedzy cywilnymi pracownikami humanitarnymi, a walczącymi żołnierzami, zatrze się też samą ideę pomocy humanitarnej – mówią pracownicy ICRC. – Trzeba wyraźnie rozdzielać funkcje militarne wojska od działalności humanitarnej”.

Pracownik humanitarny to ktoś inny niż żołnierz przebrany w cywilne ubranie, rozdający chleb jednego dnia, a drugiego dnia, już w mundurze, rzucający bomby. Bo jeśli podstawowe cechy pomocy humanitarnej – humanizm, neutralność, bezstronność – ulegną rozmyciu, to skończy się niesienie pomocy i ucierpią na tym miliony potrzebujących cywilów, których przeżycie zależy od pracy ludzi Czerwonego Krzyża i podobnych organizacji.

Organizacje zaangażowane w niesienie pomocy zwracają uwagę, że pomoc humanitarna nie może być skażona polityką. Musi być absolutnie czysta i bezinteresowna.

Pomoc humanitarna nie powinna mieć innego znaku niż znak neutralnej organizacji pomocowej. Ale rząd amerykański chce, aby organizacje, które korzystają z amerykańskiej pomocy, nie ukrywały przed światem, skąd pochodzą dary: żywność, odzież, pieniądze.

Amerykanie mówią wprost: jeśli organizacje pomocowe chcą otrzymywać od Ameryki wsparcie, powinni naklejać etykietki i logo na opakowaniach żywności tak, by nie było wątpliwości, skąd żywność pochodzi. Zgoda, ale wówczas żywność staje się niepostrzeżenie bronią polityczną.

Pomoc humanitarna nie może być w czyimś interesie osobistym czy interesie międzynarodowym. Przed laty gen. Colin Powell, przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów USA, wprowadził do polityki pojęcie „wzmacniaczy siły militarnej” (force multipliers). Organizacje pozarządowe, zajmujące się pomocą humanitarną, stanowczo zaprotestowały: nie możemy być „wzmacniaczami siły militarnej”.

Działający w Iraku pracownicy Światowego Programu Żywnościowego Narodów Zjednoczonych (World Food Programme) opowiadają, że rozdawali ludziom worki ze zbożem, na których widniała duża amerykańska flaga i napis, że jest to dar narodu amerykańskiego. Irakijczycy przyjmują żywność, ale ich postrzeganie pracowników Narodów Zjednoczonych, którzy zajmują się dystrybucją żywności, bywa jednoznacznie negatywne.

Biuro Narodów Zjednoczonych do spraw Koordynacji Pomocy Humanitarnej (UN Office for the Coordination of Humanitarian Affairs) stwierdza, co następuje:

„Pomoc humanitarna powinna być świadczona wyłącznie przez organizacje humanitarne. Wojsko, realizując swoje zadania, nie powinno pomagać ludziom tylko po to, by zjednać ich przychylność i sympatię. Ludziom nieszczęsnym, cierpiącym, podbitym należy pomagać, dlatego że są ludźmi”.

Niesienie pomocy humanitarnej w rejonach konfliktów zawsze łączyło się z pewnym ryzykiem, choć 150 lat temu, po bitwie pod Solferino, społeczność międzynarodowa zdołała wypracować zasady i normy, które gwarantowały niosącym pomoc bezpieczeństwo.

Strony konfliktów zobowiązane są nie atakować przestrzeni humanitarnej, obejmującej szpitale, pracowników medycznych i personel pomagający ofiarom wojen. Ale podczas wojen partyzanckich, gdy wojsko pomaga i strzela, sytuacja organizacji pomocowych gwałtownie zmienia się na gorsze.

Niosący pomoc są zabijani, porywani, więzieni, torturowani. Bo ich działania postrzegane są przez miejscowych jako przedłużenie politycznych i militarnych operacji państw zachodnich. Wojsko traktuje pomoc jako „wzmocnienie siły militarnej” (force multiplier). Nafta jest tu najważniejsza, liczy się także obrona pewnych terytoriów i państw na Bliskim Wschodzie.

**Podkreślanie dziś, że pomoc humanitarna jest całkowicie oddzielona od spraw politycznych i militarnych, trafia w próżnię. Mieszanie roli wojownika, napastnika, rewolucjonisty z rolą pracownika szerzącego dobro, rozdającego pomoc, stanowi zwykłą sprzedaż wojny.**

Hybrydowy kształt szkoły janczarów- Waldemar Żyszkiewicz

Pewna popularna firma handlowa na *eM* sięga po chwyty, które powinny budzić czujność wszystkich, którym zależy, żeby Polska pozostała nadal Polską.

Jest to o tyle istotne, że firma, o której mowa, jest od lat osadzona w krajowym pejzażu, więc korzysta z tradycyjnej niejako renty zaufania i sympatii swych klientów, podczas gdy od zasadniczej zmiany relacji właścicielskich działa w sposób, który powinien wzbudzić czujność instytucji odpowiedzialnych za trwałość i bezpieczeństwo państwa.

Polaka z Polaka
wyprowadzić

Firma mocno rozszerza spektrum sprzedawanych towarów, stosuje nowoczesny i agresywny marketing, unowocześnia i modyfikuje metody sprzedaży. I ma do tego prawo, trudno jednak nie zauważać coraz czytelniejszych ambicji kształtowania nowego klienta metodą wpływania na sposób myślenia oraz system wartości, zwłaszcza w odniesieniu do młodych, nieukształtowanych, wchodzących dopiero w życie pokoleń Polaków. To, co Gombrowicz przed laty trochę naiwnie postulował, na naszych oczach zaczyna się dziać. W jaki sposób?

Wśród dystrybuowanych przez firmę towarów, takich jak książki i filmy na cyfrowych nośnikach, coraz częściej zdarzają pozycje pozbawione polskiej wersji językowej. O ile pewna kategoria tytułów światowej literatury w oryginalnych wersjach językowych może być traktowana jako użyteczna pomoc przy nauce języków obcych, o tyle już literatura wagonowa, kryminały, czytadła czy wręcz pornografia takiej roli pełnić nie będzie. Co więcej, widać tu zdecydowaną przewagę jednego języka. Tak, zdecydowanie przeważa angielski, współczesna *lingua franca*. Co to oznacza?

Pierwszym efektem takiej polityki dystrybucyjnej będzie oswajanie klientów firmy z faktem, że w ich własnym kraju uprzywilejowanym językiem wcale nie jest język narodowy. I to wbrew ustawie, która teoretycznie takie pierwszeństwo powinna polszczyźnie gwarantować, lecz pozostaje ignorowana zarówno przez podmioty gospodarcze, jak i przez stróżów nominalnie obowiązującego prawa. W firmie, o której mowa, odbywa się to tak, że coraz częściej nawet adresowane do masowej widowni filmy pojawiają się z adnotacją: *bez polskiej wersji językowej*. Owszem, możliwość obejrzenia produkcji filmowej w oryginale może być korzystna, ale już przymus korzystania z wersji obcojęzycznej – z pewnością nie. Tym bardziej że i dotychczas w produktach z polskim lektorem czy napisami, można było zawsze obejrzeć film również w języku oryginału.

Multikulturalizm i metysaż

Początkowo śladowa, od zeszłego roku coraz czytelniejsza tendencja wprowadzania filmów bez polskiej wersji językowej może sugerować, że w długofalowej perspektywie firma liczy się z coraz istotniejszym udziałem klienteli niepolskojęzycznej w swych obrotach handlowych, czyli że jest przekonana o nieuchronności procesów, które z niemal monoetnicznej wspólnoty narodowej powojennej Polski, teraz po roku 1989 uczynią zmultikulturalizowane społeczeństwo bez właściwości, według wzorca wydumanego przed wiekiem przez Ryszarda hrabiego Coudenhovego-Kalergi i wciąż hołubionego przez obecne elity Unii Europejskiej oraz architektów New World Order.

Dzisiejsze narzędzie wspomagające przebudowę struktury etnicznej społeczeństw europejskich miałoby w przyszłości stać się źródłem dochodów, zgodnie z dewizą, że w nadziei przyszłych zysków trzeba najpierw odważnie inwestować. Najkrótsza refleksja nad tym zapewne – z punktu widzenia firmy *eM* – rozsądnym biznesplanem prowadzi do wniosku, że maksymalizacja tak pomyślanych zysków odbędzie się z czytelną szkodą dla narodu polskiego i jego państwa. Każdy, kto nie tylko werbalnie, ale realnie zamierza działać na rzecz polskości oraz konstytuujących naszą tożsamość tradycji i wartości, osadzonych na fundamencie katolicyzmu, powinien wyzbyć się złudzeń, że daleko posunięta swoboda gospodarza obcych podmiotów pozostaje ideowo czy aksjologicznie neutralna. Nie, tak zdecydowanie nie jest.

Dewiacyjny seks bez polskiej wersji...

Niestety, obniżanie pozycji języka polskiego, lub używając politpoprawnej nowomowy: dyskryminacja polszczyzny na jej własnym obszarze językowym, a także oswajanie Polaków z multikulturalizacją społeczeństwa oraz w konsekwencji nieuchronnym metysażem to jeszcze nie wszystkie skutki realizowanej przez firmę strategii marketingowej o dalekosiężnych, światopoglądowych czy wręcz antropologicznych konsekwencjach.

Stale obniżająca się jakość wprowadzanej do obiegu pseudoliteratury, wzmożona obecność podrzędnych produkcji filmowych, przy coraz mniejszym udziale dzieł wybitnych, wreszcie seksualizacja i rosnąca deprawacja odbiorców za sprawą różowej, pornograficznej serii filmów nie tylko japońskich, demonstrujących jawnie dewiacyjne formy realizacji popędu płciowego, to kolejny aktywny czynnik oddziaływania zwłaszcza na młodą część polskiego społeczeństwa.

Wprowadzenie produkcji w rodzaju japońskiego obrazu *Swing*, w reżyserii Meike Mitsuru, z polską wersją językową spotkałoby się najprawdopodobniej z jakimś rodzajem protestu. Ale już brak polskiej wersji językowej, usuwając ten produkt z szerokiego pola widzenia, sprawia, że bez protestów się obejdzie, a informacja o specyficznym „produkcie” i tak dotrze pocztą pantoflową do niszy potencjalnych klientów, do których jest adresowana.

Że w dłuższej mierze będzie to skutkować poszerzeniem się libertyńskiego marginesu, trudno wątpić. Podobnie jak trudno przeoczyć społeczne koszty, które przyjdzie nam wszystkim za dzisiejszy społeczny permisywizm połączony z imposybilizmem rządzących ponieść.

**Może więc czas, aby stosowne instytucje naszego państwa ocknęły się z drzemki, może wręcz z letargu, i podjęły działania naprawcze. Chyba że zostały już przejęte przez reptilian.**

Szantażysta czy łaskawca?- Paweł Żyzak

Jerozolimski szczyt elektryzował izraelską opinię publiczną z jednego, niekoniecznie oczywistego dla polskiej opinii publicznej powodu.

Oczy Izraelczyków zwrócone były na postać Władimira Putina, lecz nie dlatego, że podczas swego wystąpienia, mógł odkryć przed światem jeszcze jednego zbiorowego wspólnika Hitlera. Presję opinii publicznej odczuwał przede wszystkim premier Netanjahu, który szczycił się dotąd przyjacielskimi relacjami z głównym gospodarzem Kremla. Przyjaciół poznaje się w szczególnych okolicznością, a przed premierem Izraela trzecia już z rzędu potyczka wyborcza. Już wkrótce, bowiem 2 marca rozstrzygnie się, z jak mocnymi kartami przystąpi do formowania koalicji rządzącej. Putin jest swoistą ikoną w społeczności rosyjskojęzycznych Żydów w Izraelu. Właśnie reprezentujący ów elektorat Nasz Dom Izrael, Awigdora Liebermana doprowadził do upadku rządu Netanjahu, uniemożliwia sformowanie następnego, a więc jest pośrednim sprawcą trwającego od miesięcy kryzysu politycznego w tym państwie.

Putin podkręcił suspens i kazał na siebie organizatorom szczytu, a więc kancelarii prezydenta Rivlina oraz Jad Waszem, zaczekać. Trzeci organizator, czyli rosyjsko-izraelski miliarder, Mosze Kantor, choć zapewniał występ Putina na szczycie, miał najmniejsze powody do zmartwień. Spełnił wszelkie jego kaprysy, zadbał o należyty kontrast, ukazując na tle bohaterskich wyzwolicieli, współczesny świat tętniącego, zwierzęcego antysemityzmu zogniskowanego w państwach Zachodniej Europy.

Putin spóźnił się ponad godzinę. Ale taki już jest. Wiedział o tym i Rivlin, wiedział Netanjahu, a przekonały się na własnej skórze koronowane i niekoronowane głowy państw, także papież Franciszek. Nieważne było, ile się spóźni, ale co postanowił.

W październiku 2019 r. media izraelskie obiegła informacja, że rosyjski sąd skazał na 7,5 roku więzienia urodzoną w USA Izraelkę, Naamę Issachar. W bagażu 26-latniej turystki strażnicy na moskiewskim lotnisku znaleźli 9 gramów marihuany. Issachar przebywała za kratami od kwietnia 2019 r. Przez jej kraj w tym czasie przetoczyła się fala oburzenia. W obronie kobiety występowali politycy uczestniczący w niekończącej się kampanii wyborczej, działacze społeczni, znane postaci świata rozrywki. Szokował nie tylko surowy wyrok, ale również domniemane intencje Kremla. Dla izraelskiej opinii publicznej stała się jeńcem Putina. Jeńcem, którego należy odbić za wszelką cenę. Rosyjskie instytucje państwowe oraz tamtejsze sądownictwo mają fatalną renomę, jeżeli idzie o niezależność, również w Izraelu. Zaczęto się więc głowić i zastanawiać: czego Putin chce w zamian?

Jedna z teorii mówi: „Issahar za Kościół”. Chodzi o Cerkiew Świętego Aleksandra Newskiego, najważniejszą własność społeczności rosyjskiej w Jerozolimie. Miejsce kultu, ale również sporu, pomiędzy Kremlem i Patriarchatem moskiewskim, a spadkobiercą emigracyjnego prawosławia rosyjskiego, Cesarskiego Towarzystwa Prawosławnego w Palestynie. Władze Izraela zdają się popierać roszczenia Moskwy, o których rozstrzygnie sąd. Putin chce cerkwi, by ogłosić symboliczny sukces wizerunkowy. Jednakże głośniejsza stała się teoria: „Jeniec za jeńca”. Mianowicie Kreml od miesięcy sprzeciwia się ekstradycji do USA rosyjskiego hakera Aleksieja Burkowa, za Oceanem oskarżonego o handel kradzionymi kartami kredytowymi. Netanjahu miał otrzymać propozycję wymiany Isaahar na Burkowa właśnie, na co się nie zgodził, sprzeciw uzasadniając brakiem zgody na udział w „handlu ludźmi”. W sądzie apelacyjnym surowy wyrok na Issachar został podtrzymany, w związku z czym ostatnie nadzieje pokładano w… Putinie.

Do Jerozolimy Putin przyjechał rozluźniony i uśmiechnięty. Przyjmowano go z honorami. Stworzono dlań nawet sposobność przemawiania do głów państw, które wciąż stoją za sankcjami dotykającymi jego najbliższe, polityczne otoczenie. Przemawiał niczym współgospodarz. Netanjahu również wydawał się rozluźniony. Umówił w Jerozolimie gościa specjalnego z matką Issachar, którą Putin uspokajał: „Wszystko będzie dobrze”, dając sygnał, że skłania się ku ułaskawieniu. Jeszcze tego samego dnia, 27 stycznia rosyjska Komisja Amnestyjna jednogłośnie pozytywnie zaopiniowała wniosek Issachar o łaskę, niezwłocznie podpisał go moskiewski gubernator obwodu moskiewskiego Andriej Vorobiev. Co dostał lub co dostanie Putin w zamian?

**Prosto z Jerozolimy Netanjahu wyleciał do Waszyngtonu. Oficjalnym powodem wizyty jest ogłoszenie przez prezydenta USA „planu pokojowego”. Wydaje się pewne, że sprawa Issachar wkrótce się zakończy. Jeżeli idzie o Putina, niewątpliwie ów akt łaski przemieni go w oczach części izraelskiej społeczności z szantażysty w łaskawcę.**

STALIN, PUTIN, KATYŃ- Michał Mońko

Stalin miał rację – powiada rosyjski politolog, działacz Rosyjskiego Kongresu Żydów. W czym miał rację Stalin? Miał rację, gdy kazał mordować Polaków. Nie tylko tych w Katyniu, ale także tych w licznych gułagach sowieckiej Rosji.

Oglądam w rosyjskiej telewizji Rosja 1 rozmowę z Jewgienijem Satanowskim, czołowym rosyjskim politologiem, prezesem Instytutu Bliskiego Wschodu, a w latach 2001-2004 prezesem Rosyjskiego Kongresu Żydów. Satanowski, występując 20 stycznia 2020 w Rosji 1, powiedział, że „Józef Stalin miał rację, nakazując rozstrzelanie polskich jeńców wojennych w Katyniu”.

Wypowiedź Satanowskiego pozostaje bez reakcji polskiej polityki, polskiego dziennikarstwa i polskiej opinii publicznej. Satanowski tymczasem już leci do Tel Awiwu, gdzie premier Netanjahu zapowiedział poparcie dla polityki historycznej prezydenta Putina. Wyjdzie na to, że jednak Polska wywołała II wojnę światową. Polska napadła na Rosję sowiecką i na Niemcy hitlerowskie. A zatem Katyń był tylko słusznym odwetem Stalina.

Zbrodnicza wypowiedź Jewgienija Satanowskiego, prezesa Instytutu Bliskiego Wschodu, a niedawno prezesa Rosyjskiego Kongresu Żydów, kwitowana jest milczeniem. I w Polsce, i w Europie. Sędziowie Europy przyjeżdżają do Warszawy, by „wyrazić obawy w sprawie reformy sadownictwa”. Nie zwracają uwagi na pochwałę zbrodni NKWD w Katyniu.

Kilka dni wcześniej Władimir Putin, następnie minister Siergiej Ławrow, oskarżyli Polskę o wywołanie II wojny światowej. Polska napadła na sowiecką Rosję i na III Rzeszę Niemiecką! Czy obydwaj Rosjanie mają coś nie tak z rozumem? Nie. Ot, dorzucili nowy element do sowieckiej narracji o Polsce i Polakach.

Ta rosyjska narracja jest konsekwentnie budowana od połowy lat dziewięćdziesiątych zeszłego wielu. Nie ma tam słowa o pakcie Ribbentrop-Mołotow z 23 sierpnia 1939 roku. Nie ma tam o tym, że w czasie drugiej wojny światowej Polacy walczyli na wszystkich frontach świata. W podziale Europy, jakiej dokonali w Teheranie i w Jałcie trzej przywódcy, Stalin, Roosevelt i Churchill, Polska dostała się w strefę sowieckiej Rosji.

Friedrich Nietzsche mówił, że nie ma faktów, są tylko interpretacje. W wypowiedzi Satanowskiego nie ma faktów, nie ma historii, ale nie ma też interpretacji. Jest zwyczajna pochwała ludobójstwa, dokonanego na Polakach w Katyniu.

Polska w narracji prezydenta Putina jest krajem ksenofobicznym, agresywnym, antysemickim. Każde z tych określeń jest kłamstwem. To kłamstwo nie służy ani Polsce, ani Rosji. A jaką narrację o Polsce przekazywał w dziewiętnastym wieku Aleksander Hercen, rosyjski pisarz, polityk, walczący z samowładztwem Rosji, popierający powstanie styczniowe w Polsce.

„Polska to przedstawicielka młodości i wartości starego świata, to ostatni z żywych kwiatów na łacińskim krzyżu, Polska – nieznająca granic w poświęceniu, oddająca czwartego syna po śmierci trzech poległych, a piątego, gdy padło czterech - mężna, nieuchwytna, brocząca krwią, ginąca w jednym miejscu, a odradzająca się obok...” – pisał Aleksander Hercen w emigracyjnym „Kołakole”.

Hercen? Po stłumieniu powstania styczniowego, gdy rozszalała się w Rosji propaganda antypolska, Rosja już nie czytała Hercena. Dzisiaj też nie czyta Hercena, czyta Putina. A najbardziej czyta Dugina, doradcę Putina i ministra obrony, Gierasimowa. Dugin nie widzi dla Polski miejsca w Europie.

Czy my rzeczywiście jesteśmy w Europie? Mówią nam w Brukseli, że zanim przystąpiliśmy do Unii Europejskiej, byliśmy poza Europą. Czyżby? Związki kulturalne i gospodarcze Polski z Europą trwają od dawna. Polska integrowała się z Europą i ze światem chrześcijańskim od 966 roku. Proces ten uległ gwałtownemu przyspieszeniu po przystąpieniu Polski do Unii Europejskiej.

Okazało się, że Polska rozumie integrację inaczej niż kraje twardego jądra Europy. Czy to, co w kulturze europejskiej jest typowo niemieckie, typowo francuskie i typowo belgijskie ma być także typowo polskie, typowo węgierskie? Na ile trafne jest dzisiaj powiedzenie, że Europa jest ojczyzną Mozarta, Hugo, Goethego, Chopina? A czemu nie Europa Petaina, czemu nie Quislinga albo Tiso?

Wiadomo, że lepiej dziś słuchać Verdiego niż Mussoliniego. To problem. Łatwiej mówić o Festiwalu Wagnerowskim w Bayreuth, trudniej przypomnieć Hitlera w Bayreuth. Polska ma swój problem do rozliczenia. To brudy komuny, zalegające w sądach, na uczelniach i w urzędach. To bolszewizm tzw. trzeciego pokolenia, bolszewizm po dziadkach, nawet po ojcach, mordercach Polaków.

Europie nie przeszkadza brud komuny. Europa pilnuje, żeby Polacy nie pozbyli się tego brudu, tych złogów, trupio cuchnących KPP/NKWD/PPR/UB/PZPR/SB. Syte i leniwe pieszczochy twardego jądra Europy nie mają pojęcia, czym była i czym wciąż jest utopia Lenina/Trockiego/Stalina, także polska wersja tej utopii, reprezentowana przez Bermana/Zambrowskiego/Minca.

Na ulicach Warszawy, Gdańska i Wrocławia, a także w Brukseli, Paryżu i Bonn, pojawiają się transparenty kwestionujące demokrację w Polsce. Rodzi się tutaj problem odczuwania i współodczuwania Ojczyzny, problem postawy wobec Polski i wrogów Polski. Krzywda się dzieje złogom PRL, polskiej komunie, renegatom.

Zapomnieliśmy, że Polska miała renegatów w PPR/UB/PZPR/SB. Miała renegatów w partiach satelickich: w ZSL/SD/PAX. Józef Piłsudski mówił w 1918 roku w Lublinie: „Jest w nas potencjał wielkości i jest potencjał małości. To wynika z tego, że istnieją tuż obok siebie dwie Polski. A jeżeli istnieją dwie Polski, to muszą też istnieć dwa narody Polaków... Jeden to naród patriotów, drugi – naród kolaborantów”.

To kolaboranci dokonali zmowy w Targowicy, a faktycznie w Petersburgu. To kolaboranci powołali bolszewicki rząd w 1920. Kolaboranci rządzili Polską po 1944 roku. Ale to patrioci zrywali się przeciw zaborcom, począwszy od Konfederacji Barskiej. Patrioci szli z Napoleonem. Patrioci pobili bolszewików. I patrioci Solidarności obalili komunę. Niestety, nie do końca.

Polacy w 1980 i w 1989 pokazali, jak zwyciężać. Za nami poszła i wybiła się na niepodległość Wschodnia Europa. A dziś twarde jądro Europy chce nas uczyć wolności,

parlamentaryzmu, demokracji i wolności. Zaś prezydent Putin chce uczyć Europę historii II wojny światowej – wbrew faktom, wbrew przyzwoitości i wbrew rozumowi.

Ale to jest tak na początku. Że wbrew rozumowi. Bo na początku, gdy gdzieś tam powiedzieli, że Polska jest odpowiedzialna za Holokaust, także wydawało się to niedorzeczne, wbrew rozumowi. A potem już wszystko było do uwierzenia.

I cóż z tego, że nie tylko dokumenty, ale i materialne fakty świadczą, że wojna Niemiec i Rosji sowieckiej przeciw Polsce miała raz na zawsze wyniszczyć Polaków w Europie. Najpierw miała być zagłada warstwy kierowniczej, wymordowanie inteligencji – oficerów, sędziów, nauczycieli, urzędników. Pierwsza konferencja NKWD i Gestapo w tej sprawie odbyła się 27 listopada 1939 w Brześciu nad Bugiem.

Natomiast 30 maja 1940 roku gubernator Hans Frank, przekazując zalecenia Adolfa Hitlera na tajnej naradzie funkcjonariuszy Generalnego Gubernatorstwa w Krakowie, powiedział: „Führer wypowiedział się w ten sposób: to, co teraz uznaliśmy za kierowniczą warstwę w Polsce, należy zlikwidować; to, co wyrośnie na jej zmianę, trzeba unieszkodliwić i w odpowiednim czasie ponownie usunąć”. (Natalia Lebiediewa: Katyń. Bellona. Warszawa 1997, s. 140).

Putin nie zna tych faktów, tych racji? Ba! Dzisiaj ten ma rację i narrację, kto ma siłę informacji i mediów. Nośnikami wartości, ideologii i stylów życia są dzisiaj przede wszystkim media drukowane i elektroniczne, siła tych mediów, oparta na potędze gospodarki, finansów i handlu.

Twarde jądro Europy chce Polski niedojrzałej, niewyrosłej z dziecięctwa. Polska jest przedstawiana na Zachodzie, a ostatnio także na Wschodzie, jako kraj nierozumiejący nawet swej Konstytucji. Zaprzańcy, zdrajcy sprowadzają do Polski doradców, kaznodziejów politycznych i geszefciarzy, którzy próbują nas pouczać, jaka ma być w Polsce demokracja i jak ma pracować Sejm.

Gdzieś tam na Zachodzie nie wiedzą, że Sejm Walny już od 1382 roku stanowił o najważniejszych sprawach Królestwa Polskiego. Od roku 1569 zwoływany był Sejm Rzeczypospolitej Obojga Narodów, złożony z trzech stanów składający się z dwu izb – Izby Poselskiej i z Senatu oraz z trzech stanów sejmujących: króla, posłów i senatorów.

Odpowiednikiem polskiego Sejmu miała być rosyjska Duma, powołana 27 kwietnia 10 maja 1906 roku. Formalnie były kolejno cztery dumy w carskiej Rosji w latach 1906-7 i w latach 19212-1917. Trwały po kilka miesięcy, a czwarta Duma była w istocie klubem dyskusyjnym.

Za wzorcowy uchodzi brytyjski Parlament. Jego początkiem jest Magna Charta Libertatum z 1215 roku. To niejako dopiero prawo do rozmowy biskupów z hrabiami i baronami. A gdzie szlachta, mieszczanie? Pół wieku później do baronów dosiadło rycerstwo i przedstawiciele mieszczaństwa. Parlament był koślawy i funkcjonował z przerwami aż do 1642, gdy jego sytuację wyjaśniła wojna o Parlament.

Przywiązanie do wolności i do prawdy jest w Polsce konieczne, jak powietrze. Polacy nie umieją żyć bez wolności. To nasze powstania, zrywy narodowe podrywały też do wolności Europę.

„Febra powstania powtarza się w Polsce co lat szesnaście mniej więcej, to jest, gdy podrośnie pokolenie, które nie znało na sobie wszystkich nieszczęść powstania – pisał rosyjski historyk, Nikołaj Wasyliewicz Berg w „Zapiskach o polskich spiskach i powstaniach”. Warszawa 1906. – Polacy: my od pieluch jesteśmy pierwej Polacy niż ludzie, my na świat przychodzimy spiskowcami”.

Na naszych sztandarach nie bez powodu jest hasło: „Za Waszą i Naszą Wolność”. Nie prowadziliśmy wojen zaborczych, nie anektowaliśmy krajów i narodów. Walczyliśmy o wolność innych narodów i krajów.

Polska ma granice z czasów Mieszka, Chrobrego, Łokietka. Nasi sąsiedzi żyli spokojnie, nie obawiając się najazdu Polaków. Pasek notuje w swoich „Pamiętnikach”, że kiedy szedł z Czarnieckim na pomoc Danii, konie zaczęły chrapać, a kawalerzystom zrobiło się jakoś dziwnie, gdy koło Barnimia przekraczali granicę Królestwa Polskiego i wchodzili do Brandenburgii.

I oto my, Polacy, którzy przez wieki byliśmy przedmurzem cywilizacji zachodniej, broniąc jej przed nawałnicami Mongołów, później Turków, a przed stu przed nawałą bolszewików, dzisiaj jesteśmy coraz bardziej narodem bitym, może nawet pobitym, a na pewno rozbitym, zatomizowanym przez… Zachód. Ba! Jesteśmy narodem zawstydzonym. Kultura Zachodu staje się dla kultury polskiej lustrem, w którym Polacy doszukują się swoich wad, błędów, swojego upadku przed upadkiem.

Piłsudski! Jaka szkoda, jaki żal, że nie ma już Piłsudskiego. On nie rozmawiał z szubrawcami, ze złodziejami. Nosił głowę wysoko. Albo taki Mackiewicz. „Z komunistami nie rozmawiać, do komunistów strzelać”. A tu komuniści, przebrani za Wallenrodów, w Trybunale, w Sejmie, w mediach, a nawet nad mediami narodowymi. Zgroza!

**Larum grają, komendancie Piłsudski. Larum grają, Józefie Mackiewiczu. Rzeczypospolita Was potrzebuje, a Wy gdzie?!**

W KRAINIE WYŻSZYCH STANDARDÓW- Artur Adamski

W kontekście dążeń do odejścia od postkomunistycznej kastowości, dominującej w polskim sądownictwie, słyszymy często, że rozwiązania praktykowane w RFN nie mogą znaleźć zastosowania w naszym kraju, gdyż „Niemcy mają wyższą kulturę prawną”. Na czym owa „niemiecka wyższość” tym razem polega, możemy się dowiedzieć z wznowionej właśnie książki Krzysztofa Kąkolewskiego „Co u pana słychać?”

Od samego początku istnienia Republiki Federalnej Niemiec z tego państwa nadchodziły wiadomości o wypełnieniu tamtejszych sądów sędziami o przeszłości nazistowskiej. W jakiś sposób można to zrozumieć. Wprawdzie każdego niemieckiego przeciwnika Hitlera RFN nagłośnił przynajmniej kilkoma filmami i dziesiątkami wielojęzycznych publikacji, to jednak produkcja legendowej fikcji nie zmieniała faktu, że sędziów innych, niż nazistowscy, w RFN przez wiele lat niemal nie było.

Elity innych dziedzin życia nie wyglądały zresztą lepiej. Informacje o masowym uniewinnianiu przez zachodnioniemieckie sądy najbardziej nawet ewidentnych zbrodniarzy były w Polsce przyjmowane z niedowierzaniem. Wiadomości te często były u nas wtedy przypisywane aparatowi komunistycznej propagandy. W latach siedemdziesiątych najwybitniejszy z polskich reporterów postanowił rzecz sprawdzić na miejscu.

Państwo prawa czy upiornej groteski?

Już w strefach okupacyjnych, kontrolowanych przez aliantów zachodnich, działalność na ogromną skalę rozpoczęli liczni hitlerowscy zbrodniarze. Theodor Schieder, prawa ręka Himmlera od antypolskich czystek etnicznych, główny autor planów wyrzucenia Polaków z Wielkopolski, już w 1945 rozpoczął budowę centrum, dokumentującego cierpienia niemieckich „wypędzonych”. Ruch, który stworzył, od kilkudziesięciu lat jest niezmiennie najhojniej sponsorowaną społeczną inicjatywą, działającą w RFN. Zbrodnicza przeszłość Scheidera nigdy tam nie zainteresowała nikogo. Nikt też nie zauważył czegokolwiek niestosownego w tym, że nagłaśniający gehennę Niemców, od 1945 roku zmuszonych do opuszczenia ich „nowej ojczyzny”, jaką parę lat wcześniej rzekomo stawały się Gdynia czy Gniezno, sam był sprawcą rzeczywistych tragedii rzesz ludzi wyrzucanych nie z domów zagrabionych, lecz własnych. Schieder musiał w RFN uchodzić za postać zacną, jeśli dane mu było zostać formalnym doradcą rządu RFN i rektorem Uniwersytetu w Kolonii.

Niemieccy prawnicy często z dumą wskazują na wielki humanizm obowiązującego u nich prawa, od początku istnienia RFN wykluczającego karę śmierci. Trudno się jednak nie domyślać genezy owego wykluczenia kary głównej. Rozwiązanie takie dawało pewność, że i najpotworniejsi z hitlerowskich oprawców nie będą mogli być sprawiedliwie ukarani nawet w przypadku, gdyby sprawa sądowa wymknęła się z powszechnie funkcjonującego schematu. Polegał on na tym, że jeśli nawet dany zbrodniarz nie został uniewinniony, w krótkim czasie obejmowała go amnestia lub nadzwyczajne złagodzenie kary. Przyglądając się wyrokom, można zauważyć, że wiele zależało od tego, kim były ofiary zbrodniarzy.

Znamienny jest przykład Ericha von dem Bacha, inicjatora utworzenia przeznaczonego dla polskich więźniów obozu koncentracyjnego Auschwitz, organizatora czystek etnicznych na Śląsku i licznych egzekucji na Kresach, sprawcy krwawego stłumienie Powstania Warszawskiego, po którym nie dotrzymano warunków zaprzestania walk, lecz doprowadzono do eksterminacji dużej części Polaków wypędzonych ze stolicy. Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich wyliczył 230 tysięcy śmiertelnych ofiar rozkazów von dem Bacha. W związku z tymi zarzutami został on w RFN skazany na dziesięć lat obozu pracy. Wyrok ten bardzo szybko zamieniono na areszt domowy. Kat Warszawy znalazł się dopiero w prawdziwych opałach pod koniec życia, kiedy zarzucono mu zbrodnie przeciw Niemcom – udział w zamordowaniu sześciu niemieckich komunistów oraz w hitlerowskich porachunkach z roku 1934, zwanych „nocą długich noży”. Za udział w takich czynach von dem Bach dostał dożywocie i umarł w więziennym szpitalu.

„Supermocarstwo moralne”

Przed podróżą Kąkolewski sporządził listę kilkuset uniewinnionych zbrodniarzy, piastujących w RFN różne lukratywne stanowiska. Dostrzegł też mechanizm, którego praktykowanie czyniło ich ostatecznie uwolnionymi od ryzyka spotkania się w swoim życiu z jakimikolwiek prawnymi zarzutami. Po wydaniu uniewinniającego wyroku – prokuratura wnosiła apelację. Jej odrzucenie na zawsze zamykało możliwość stawiania dwukrotnie już odrzuconych zarzutów. Działało to jak automat, w oczach państwa i obywateli ostatecznie rozgrzeszało i otwierało drogę do godności w Bundestagu czy rządzie. Kąkolewski poprosił o rozmowę kilkunastu zbrodniarzy, którzy zrobili karierę w RFN. Zgadzali się rozmawiać powodowani ciekawością, megalomanią, czasem sprytnie przez reportera zwabieni, a przekonani o ostatecznym zwycięstwie ich własnej wersji wydarzeń i absolutnie zawsze – bezbrzeżnie pewni swego.

Z prof. Hansen Fleischhackerem Kąkolewski spotkał się w jego miejscu pracy – Instytucie Antropologii Uniwersytetu Frankfurckiego. Jak się okazało profesor dysponował kartoteką osób, które poddawał badaniom od lat trzydziestych. Kolejne karty wypełniał według tego samego schematu, jaki praktykował w latach działania obozów zagłady. W czasie tygodniowego pobytu w Auschwitz wskazał 115 więźniów – Polaków, Żydów i Azjatów. Po zagazowaniu dostarczono mu zwłoki wypreparowane i wypchane, gotowe do ustawienia jako elementy ekspozycji Muzeum Rasy. Po wojnie postawiono mu zarzut zlecenia morderstwa na 115 osobach. Trudno powiedzieć, który z argumentów zadziałał – Fleischhacker utrzymywał, że Muzeum Rasy liczyło na 150 preparatów. Być może poprzestanie na 115 uznano za ocalenie 35 ludzi, których jako przyszłych eksponatów muzeum nie wskazał? Niemiecki naukowiec twierdził też, że mimo, iż Muzeum Rasy budowało znaną mu kolekcję a on wskazywał ludzi, nadających się na eksponaty, to jednak nie wydawał polecenia ich zabicia. Siła tych argumentów sprawiła, że już na początku rozprawy sam prokurator wystąpił o uniewinnienie, do którego to wniosku przychylił się sąd.

Kolejnym rozmówcą Kąkolewskiego był Hermann Stolting. W czasie wojny, będąc prokuratorem na polskich ziemiach wcielonych do Rzeszy, dla niezliczonych Polaków żądał kary śmierci a niemiecki sąd każde takie żądanie wieńczył wyrokiem. Z charakteru „przestępstw”, ściganych przez Stoltinga wynika, że to raczej nie one były powodem żądania najwyższych wyroków, ale to, że stawianymi przed błyskawicznie działającymi sądami byli Polacy. Jeden z nich został skazany np. za to, że w Wigilię Bożego Narodzenia podarował angielskiemu jeńcowi paczkę papierosów. W RFN Stolting oczywiście został uniewinniony. Z rozmowy wynika, że 35 lat po wojnie nie miał sobie do zarzucenia absolutnie nic. O terenie swojej prokuratorskiej działalności mówił: „To są niemieckie ziemie, stąd zasadne były na nich niemieckie prawa”. W RFN Stolting został wziętym adwokatem, znanym obrońcą katów z Auschwitz, a także prezesem niemieckiego Towarzystwa Ochrony Zwierząt. W prasie publikował artykuły, propagujące weganizm jako wyraz postulowanych przez niego wysokich standardów moralnych. Był też współautorem „Biblii obrońców zwierząt”, w środowiskach lewackich popularnej dzisiaj także w Polsce.

Szukając hitlerowskich oprawców, Kąkolewski musiał też trafić do Bundestagu, gdzie spotkał barona Ottona von Fircksa, posła CDU, znanego w RFN autora książeczek dla dzieci. W czasie wojny Fircks był szefem sztabu SS do spraw wysiedleń Polaków z powiatu Gniezno. Reporter wyposażony w dokumenty, opisujące tragedię tysięcy polskich rodzin, w środku nocy wyrywanych ze snu, rozdzielanych i kierowanych często prosto do obozów dostał w odpowiedzi opowieści o krzywdach, rzekomo wyrządzonych Niemcom przez Polaków. Fircks, w latach siedemdziesiątych jedna z czołowych postaci niemieckiej sceny politycznej, do zarzucenia sobie nie miał literalnie nic. Był autorem świetnie zorganizowanych operacji błyskawicznej wymiany ludności.

Nocą SS otaczało wieś. Kiedy po godzinie nie było w niej już nikogo do uprzednio poprzydzielanych domów przywożono niemieckie rodziny, oczekujące na to w miejscowości oddalonej o kilka kilometrów. Z rozmowy z Fircsem wynika, że ani wówczas ani po dziesięcioleciach nie zdarzył mu się żaden moment niepokoju sumienia, jakikolwiek cień współczucia dla Polaków. Wybitnego polityka CDU nigdy nie spotkała żadna przykrość za popełnione czyny i nic nigdy nie zmąciło jego przekonania, że robił to, co w Polsce zrobić należało.

„Humaniści” i wizjonerzy „zjednoczonej Europy”

Nie inaczej było z prof. Reinhardem Hoehnem, ekspertem Himmlera od polityki narodowościowej. W jego wypowiedziach wyraźny jest nawet ton dumy z nadawania tej polityce charakteru, jego zdaniem „humanitarnego”. Jak wiadomo niemiecki Generalplan Ost zakładał zmniejszenie populacji Polaków co najmniej 85 proc. Ocalona grupa wynarodowionych, posłusznych, niewykształconych członków naszej zbiorowości miała być przeznaczona do służenia „niemieckim panom”. Do wyboru pozostawał sposób osiągnięcia tego celu. Hoehn proponował masową sterylizację lub podawanie Polakom soku z tropikalnej rośliny calladium segiunum, powodującego całkowitą bezpłodność. Wspominając, Hoehn mówi: „Himmler uważał, że planowaną w Generalplan Ost depopulację Polaków można osiągnąć w kilka miesięcy. Ja przekonywałem go, że to zadanie wymagające może nawet 20-25 lat”. Z rozmowy o stylu życia, prowadzonym przez niego w RFN dowiadujemy się m.in., że pasją profesora jest strzelectwo. Jako wielki humanista podkreśla jednak: „Nigdy nie strzelam do zwierząt! Tylko do rzutków”.

Jednym z głównych twórców Generalplan Ost był Aleksander Dolezalek, kreślący plany najbardziej radykalne – z Polski i polskości nie miał pozostać nawet ślad. W czasie wojny był szefem sztabu planowania osadnictwa SS w Poznańskiem i Łódzkiem. Kąkolewski dotarł do niego w Ośrodku Studiów Ogólnoeuropejskich we Vlatho nad Wezerą. Dolezalek był profesorem tej uczelni. W rozmowie nieustannie podkreślał, że ideą jego życia zawsze było „zjednoczenie Europy”. Pytany o „Memoriał w sprawie polskiej” jego autorstwa, zakładający unicestwienie naszego narodu twierdzi, że „te warianty się zmieniały, według kolejnego w jakiejś postaci Polska być może mogłaby istnieć”. O tym, co było treścią jego wykładów, Kąkolewski mógł się domyślić w czasie spotkania ze studentami. Furia antypolskich ataków prowadziła do wniosku, że w mentalności przynajmniej części Niemców od czasów Hitlera wiele się nie zmieniło. Innym, spotkanym przez reportera architektem Generalplan Ost był gen. Konrad Mayer. Przyciśnięty pytaniami bronił się odpowiedziami w rodzaju: „Byliśmy po prostu dobrymi Niemcami. Każdy musi bronić swojego narodu”. Ta „obrona” polegać miała na eksterminacji, wg jego planu - niemal wszystkich Polaków.

Żołnierze gen. Heinza Reinefartha tylko 5 i 6 sierpnia 1944 rozstrzelali w Warszawie 35 tysięcy Polaków. Pytany o to odpowiada niespójnie. Mówi, że liczba jest przesadzona a rozstrzeliwanie kobiet i dzieci było uzasadnione, gdyż w Powstaniu, opisywanym przez niego jako istne piekło straszliwie twardej walki, strzelały także kobiety i dzieci. Bardziej użala się nad swym własnym losem. Proces kata polskiej stolicy trwał rekordowo długo – Reinefrth musiał się stawiać na rozprawy przez 20 lat. W najmniejszym stopniu nie utrudniało mu to bycia wybieranym na kolejne kadencje do piastowania godności burmistrza miasta Westerland. A proces, jak to w RFN, gdy chodziło o zbrodnie na Polakach, zakończył się tak, jak bez wyjątku zawsze, czyli całkowitym uniewinnieniem. W przypadku Wilhelma Koppego, w Generalnym Gubernatorstwie figury najważniejszej po Hansie Franku, proces został zakończony z powodu złego stanu zdrowia sądzonego. Jego kondycja nie była chyba jednak aż tak fatalna, jeśli zbrodniarz ten, a w RFN właściciel fabryki czekolady, żył jeszcze 10 lat. W swoich dziennikach sam Hans Frank pisał o Koppem, że „każdą chwilę stara się wypełniać eksterminacją Polaków i nieustannie wymyśla najbardziej efektywne formy masowych mordów”. Protokoły z posiedzeń władz GG zawierają fragmenty jego przemówień, w których żądał intensyfikacji ludobójstwa: „Będziemy brodzić we krwi po kolana a stosy czaszek sięgną ponad dachy”. I rzeczywiście oprawca, o którego zdrowie tak się troszczyły niemieckie sądy, uczynił bardzo wiele w celu realizacji swych ludobójczych wizji.

Wśród rozmówców Kąkolewskiego przypadkiem szczególnym był Heinz Rolf Hoppner. Ten najpierwszy twórca systemu obozów zagłady, pomysłodawca i realizator programu instalowania w nich komór gazowych, był sądzony w Polsce. Po skazaniu na dożywocie i odsiedzeniu 10 lat napisał do Bieruta list z prośbą o uwolnienie. Bierut, niezliczoną ilość razy odrzucający prośby dzieci polskich bohaterów, skazanych na śmierć, tym razem do ułaskawienia się przychylił. Hoppner wyjechał do RFN, gdzie dzięki okazanej mu wszechstronnej pomocy szybko osiągnął dobrobyt jako właściciel spokojnie prosperującego przedsiębiorstwa. Z wszystkich żyjących w RFN antypolskich ludobójców on wycierpiał najwięcej – wszak spędził w PRL-owskim więzieniu całych 10 lat.

Z książki Kąkolewskiego wyłania się obraz Niemiec jako kraju, w którym rozliczenia ze zbrodniczą przeszłością i wszystko, co mogłoby uchodzić za rzeczywiste rozstanie z nazizmem to całkowita fikcja. Retoryka ekspiacji, rzekome poczucie winy wobec mordowanych narodów, to tylko „eksportowa twarz Niemiec”. Rzeczywisty, wewnętrzny przekaz, treści mediów, programy nauczania, model wychowania – zawsze dążyły do wykluczania jakiegokolwiek narodowego poczucia winy. Przeciwnie – Niemcy wszystkich roczników mieli wzrastać w poczuciu wielkiej narodowej dumy, świadomości ogromu swojego dziedzictwa, wyjątkowości i powołania do wielkich celów.

**O tym, jak niesłychanie skuteczny okazał się ten model „wielkiego narodowego formowania” świadczy dziś choćby to, że państwo o przerażająco nikczemnej tradycji swych sądów całkowicie serio stwierdza dziś: „My mamy wyższą kulturę prawną”.**

KLĘSKA URODZAJU- Natalia Rybak

Dawno, choć znowu nie tak strasznie dawno, bo raptem 30 lat temu jedno rodzinne dziecko dostało pod choinkę banana – był to bowiem czas, kiedy banany i mandarynki oraz pomarańcze bywały częstym, bardzo pożądanym, prezentem od św. Mikołaja.

Obdarowane wówczas dziecko przytkane z wrażenia wołało „mamo, patrz – owoc! Prawdziwy owoc!”, gdyż nie wiedziało nawet, jak się ten piękny jadalny przedmiot nazywa. Dziś własne córki owego dziecka z bananem mogą się już tarzać w rozmaitych egzotycznych cytrusach, czekoladzie i innych frykasach – na szczęście zostały dobrze wychowane i ze słodyczy preferują kiszone ogórki, ale nie w tym rzecz. Ja sama w owych dawnych czasach miałam dwie pary butów (jedne lekkie, drugie ciepłe) i jedno zimowe okrycie. Dziś tych okryć jesienno-zimowych, przyznaję ze wstydem, mam 5… Butów nie podejmuję się liczyć, bo może być jeszcze gorzej, choć większość to pantofle na obcasie zakładane od wielkiego dzwonu, których nie sposób się pozbyć, bo nigdy nie wiadomo, kiedy ów dzwon zadźwięczy. (Pocieszam się wszakże, że do Imeldy Marcos jeszcze mi sporo brakuje...)

Tak w ogóle nie mogę się oprzeć wrażeniu, że wszystkiego ostatnio jest jakby za dużo. Zewsząd zasypuje nas lawina przedmiotów, fantastycznych ofert, niepowtarzalnych okazji. Te wszystkie mega-paki, grupony, super promocje i „czwarte pudełko gratis”. Jak nie boom przedświąteczny, to szaleństwo sezonowych wyprzedaży. Brodząc w morzu dóbr wszelakich będziemy źle się czuli, jeśli nie sprawimy sobie kolejnego czegoś, bo przecież okazyjna cena i takiego jeszcze nie mieliśmy. Jak pisał antropolog kultury Mircea Eliade – nadmiar, przesyt, rozrzutność, marnotrawstwo były elementem świętowania już w kulturach dużo starszych niż nasza, miały być kolorową przeciwwagą dla zgrzebnego, skromnego czasu nie-świątecznego. Tyle że u nas te bachanalia trwają nieustannie. Wszyscy ciągle mają urodziny, jak nie ja, to bank, stacja benzynowa, kino, supermarket, biuro podróży, sieć telefoniczna albo dostawca Internetu. I z tej okazji wszyscy chcą mnie obdarować praktycznym gadżecikiem lub większą ilością czegoś tam. Operator komórkowy, korzystając z tego, że ma do mnie swobodny dostęp, co i rusz proponuje mi rozmaite niezbędne usługi, jak lokalizacja dziecka za pomocą komórki, lokalizacja znajomych za pomocą komórki, lokalizacja siebie samego za pomocą GPS-a, stały dostęp do najświeższych ploteczek i Facebooka, Tweettera i innych komunikatorów. Jak co roku nawiedza mnie też oczywiście tradycyjny korowód domokrążców zatroskanych stanem moich finansów i gospodarstwa domowego, usiłujących wcisnąć mi: dywan, obicie kanapy, odkurzacz oraz nader korzystne pakiety usług telekomunikacyjnych typu Internet+telefon+kablówka. Wszyscy byli bardzo mili i przekonujący. Prawie im uwierzyłam. Bo generalnie propozycja typu „więcej za mniej” jest szalenie nośna i łatwo się dać na nią złapać. Przeraziła mnie dopiero perspektywa posiadania 150 kanałów telewizyjnych. I to nawet nie ze względu na zawartość treściową tychże (kanał przyrodniczy: *Najgroźniejsi z groźnych*, *Polowanie na wodne potwory*, *Tajemnicze bestie*, *Atak rekinów*; kanał komediowy: *Jak poznałem waszą matkę II*; *Teoria wielkiego podrywu IV*, *Dwóch i pół III*…), bo w tym mrowiu są też i pozycje ciekawe, wartościowe, które chciałabym obejrzeć – zwykle cztery równocześnie. Ale, na litość – półtorej setki programów nadających przez całą dobę?! Żeby skorzystać z tego dobrodziejstwa (a jeśli się za coś płaci, to przecież nie po to, żeby się marnowało), człowiek powinien co 7 minut zmieniać kanał, przy optymistycznym założeniu, że będzie się gapił w ekran przez 24 godziny, nie myjąc się, nie śpiąc, nie chodząc do pracy. Bo jeśli pójdzie, albo z przeproszeniem zachce mu się siku, będzie miał niemiłe uczucie, że oto traci coś bezpowrotnie. Wiem, wiem, można sobie nagrywać. Ale poświęcając wieczór na obejrzenie nagranego, pozbawimy się wszak możliwości zobaczenia tego, co leci w danej chwili…

Życie to sztuka wyborów. W momencie kiedy ów wybór mieliśmy ograniczony do dwóch par butów czy banana lub jego braku, wydawało się nieporównanie prostsze. Dziś samo opędzanie się od tych wszystkich cudownych okazji urozmaicenia nam egzystencji zajmuje mnóstwo czasu. Nawet Sokrates, który lubił podobno przechadzać się po targu, by zobaczyć bez ilu przedmiotów doskonale może się obejść, w dzisiejszych czasach poczułby się zdezorientowany.

**Znajoma osoba uświadomiła mi ostatnio jedną rzecz: koszt opłacenia szkoły dla afrykańskiego lub syberyjskiego dziecka w ramach akcji Watoto to od 8 do 15 euro miesięcznie. Taniej niż 100 kanałów TV w jakości HD. I jest w tym więcej sensu.**

Minister Tadeusz Kościński likwiduje wynalazek Fenicjan?- Paweł Falicki

Pieniądze w formie monet pojawiły się – jak twierdzą historycy i archeologowie – około VII wieku przed Chrystusem, a ich wynalazcami byli prawdopodobnie starożytni Fenicjanie. Rozpowszechnienie pieniędzy zlikwidowało handel wymienny. Pieniądz stał się miernikiem wartości przedmiotów, produktów, ogólnie – obiektów handlowych. Stał się też miernikiem pracy ludzkiej.

Aby miernik ten nie wskazywał fałszywych wartości, wkrótce oparto emisję pieniądza na złocie, tzn. emitent (np. król) produkował tyle monet, ile miał złota. Ilość złota na świecie była prawie stała (rosła bardzo powoli, ot, tyle ile rozsądna inflacja), więc pieniądz się nie tracił wartości.

Tak było do czasu, gdy emitentowi potrzebne były większe ilości pieniędzy niż posiadane zapasy złota. Zapasy złota można było zwiększyć, na przykład napadając na zasobnego sąsiada i rekwirując jego skarbiec. Ale na taka wojnę i tak chwilowo potrzebował więcej pieniędzy, stąd pomysły monet srebrnych, miedzianych, a potem pieniądza papierowego.

Wydawałoby się, że wprowadzenie pieniądza papierowego spowoduje straszliwą inflację. Tak się nie stało, przynajmniej na początku. Na banknotach podpisywali się różni władcy, bankierzy i ich emitenci, gwarantując swoim nazwiskiem, że w każdej chwili banknot można wymienić na kawałek złota. Oczywiście nie wszędzie. Jedynie w banku, który taki papier wydrukował. Te podpisy figurują na różnych banknotach do dzisiaj, ale już coraz rzadziej, bo jest coraz mniej chętnych do kalania swojego nazwiska pustymi obietnicami.

Obietnice te okazały się puste w latach 1971-1973, gdy Stany Zjednoczone doszły do wniosku, że ilość pieniędzy papierowych i blaszanych monet na świecie powinna odpowiadać nie ilości złota, tylko ilości dostępnego towaru. Taki wniosek zwolnił USA z obowiązku wymiany dolarów na złoto. Ponieważ dolar USA był (i jest) główną walutą rozrachunków międzynarodowych, to w ślad za dolarem poszli emitenci innych walut. Dzisiaj w świecie nie ma już prawie walut opartych o zapasy złota, a ci, którzy próbują swoją walutę oprzeć na czymś innym, a nie na dolarze USA – są surowo karani. Takie próby wciąż się podejmuje, ale kończą się one źle dla emitentów, którym „społeczność międzynarodowa” pod przewodnictwem USA konfiskuje nagromadzone złoto, a nad innymi zabezpieczeniami wartości waluty, np. ropą naftową, przejmuje kontrolę.

Podtrzymanie wartości pieniądza jest coraz trudniejsze, bo nie tylko są kłopoty z oceną ile na świecie jest dostępnego towaru, ale do towarów zaliczono również usługi, a nawet sam pieniądz jako taki stał się towarem. Oczywiście ciągle wierzymy w to, że banki same się pilnują, by nie dodrukować więcej pieniędzy, niż zostało to ustalone w bardzo poważnych międzynarodowych umowach. Ale pomysłowość ludzka nie ma granic. Usługi można kreować znacznie szybciej niż produkowanie materialnych towarów. Można np. wymyślić usługę zabezpieczenia udzielonego kredytu i ją sprzedawać po dowolnej cenie. Można wymyślić usługę pozwolenia na emisję jakiegoś gazu do atmosfery, czyli czynności o niemierzalnym rezultacie – i też to sprzedawać, a nawet doprowadzić do międzypaństwowego okładania się podatkami z tytułu takich czynności. Wszystko to potwornie dewaluuje pieniądze, do których przywykliśmy.

Dlatego z uwagą trzeba przyglądać się pomysłom opanowania, a w każdym razie zliczenia tych wszystkich przepływów finansowych. Sprzyja temu cyfryzacja bankowości, a więc tempo sporządzania możliwych zestawień i porównań. Globalnie się tego prawdopodobnie zrobić nie da, ale wewnątrz jednego systemu monetarnego takie próby są podejmowane.

Wygląda na to, że w Polsce taką próbę podejmuje właśnie minister finansów z błogosławieństwem premiera. Wchodzą w życie kolejne przepisy eliminujące gotówkę z życia publicznego. Coraz więcej jest zachęt do płacenia kartą, smartfonem, BLIK-iem, inną formą przelewu. Wszystkiemu temu przyświeca myśl wyłapania tych, którzy „piorą pieniądze”. Na czym polega „pranie pieniędzy”? Ogólnie chodzi o to, by w banku można było trzymać pieniądze, które dostaliśmy w gotówce, niespecjalnie je zliczając. Na przykład uśmiechamy się do sąsiada, a on codziennie daje nam za ten uśmiech jakąś niewygórowana kwotę. Uśmiechy za pieniądze nie są jeszcze zakazane, ale już częstowanie konopiami – tak. Na razie takie „niewygórowane kwoty” możemy wpłacać do banku bezkarnie, ale Ministerstwo Finansów stopniowo zaciska pętlę, ograniczając kwoty wpłat ale także i wypłat gotówkowych. Na małe przedsiębiorstwa, które i tak nie operują jednorazowo kwotami powyżej kilku małych tysięcy złotych, takie regulacje nie mają większego wpływu. Ale wpłata do banku utargu z „jednorękiego bandyty” (oczywiście legalnie zarejestrowanego!)…

No ale nie idźmy po bandzie – wystarczy sklep, który ma gotówkowy utarg dzienny powyżej 15000 PLN i chce go wpłacić do banku. Już zaczynają się podejrzenia o jakiś czarny biznes. Pieniądze oczywiście najpierw przechodzą przez kasę fiskalną, więc fiskus o tym i tak wie. Ale bank za darmo gotówki nie przyjmuje. Trzeba zapłacić za jej przeliczenie. W ogóle banki niedługo będą pobierały opłaty za jakikolwiek kontakt z pieniędzmi a w swej działalności skupią się prawdopodobnie jedynie na żonglerce derywatami. W Polsce również przelewy między przedsiębiorstwami większe niż 15000 PLN obłożone są restrykcjami związanymi z odprowadzaniem podatku VAT. Ministerstwo Finansów utworzyło listę tzw. białych rachunków, na które firmy mogą przelewać pieniądze „bez obaw”. Oczywiście nazwa jest dobrana tak, by każdy rachunek, który nie figuruje na tej liście kojarzył się z czarnym, a więc nielegalnym i złym obrotem pieniędzmi. Jest to oczywiste propagandowe nadużycie, nie służące budowaniu zaufania do resortu finansów. Minister finansów źle przemyślał te elementy walki z oszustami podatkowymi, bo odnosząc sukcesy, równocześnie medialnie pozycjonuje ministerstwo jako wrogą obywatelom administrację. A przecież nie o to nam chodzi, byśmy w Polsce mieli administrację, która traktowana jest jak okupant, prawda?

Ale nie jest to jeszcze taka straszna wpadka ministra Kościńskiego. Inni robią to znacznie mniej finezyjnie. Oto Indie już jesienią 2016 jednym pociągnięciem unieważniły największe banknoty 500 i 1000 rupii. 86 proc. gotówki będącej w obiegu straciło swoją wartość w ciągu jednej nocy. Ci, którzy mieli dużo gotówki w domach, nie zdążyli wymienić dużych nominałów. Rząd wprowadził wprawdzie nowe banknoty 2000 i 500 rupii, ale ich wydawanie było limitowane. Był to element większego planu „Indie – społeczność bezgotówkowa”. Ta kuracja dała szybki efekt: Indie są dzisiaj najbardziej zaawansowanym technologicznie państwem w usiłowaniach usuwania gotówki z obrotu. Natomiast ilość gotówki powróciła do podobnego poziomu jak przed tą operacją już po 3-4 miesiącach.

W Chinach natomiast gotówka znika łagodniej. Rozpowszechniony tam komunikator Wechat jest także popularną „elektroniczną portmonetką”. Większość drobnych płatności dokonuje się za pomocą tego komunikatora. Każdy przyzwoity Chińczyk ma go w swojej komórce. Chiński rząd nie stosuje przymusu płatności bezgotówkowych, tylko udostępnia wszechogarniającą aplikację swoim obywatelom, którzy powszechnie instalują ją na swoich telefonach. Zasięg działania tej aplikacji (tak jak zresztą popularnego w Europie komunikatora Whatsapp) był już kilkakrotnie ograniczany w Chinach. Zdarzało się tak na przykład podczas ostatniego Zjazdu Komunistycznej Partii Chin, ale użytkownikom, którzy bezgranicznie wierzą swojemu rządowi, to nie przeszkadza.

Ale są też i poważni przeciwnicy limitowania obrotu gotówkowego Oto 21 stycznia 2020 Rada Miejska Nowego Jorku przegłosowała uchwałę zabraniającą prowadzenia firm, które nie przyjmują gotówki. Obrót jedynie bezgotówkowy będzie zakazany, a odmowa przyjęcia gotówki będzie karana od 1000 do 1500 USD. Niektóre restauracje protestują przeciw takiemu rozwiązaniu, utrzymując, że obrót bezgotówkowy jest bezpieczniejszy. Radni jednak wzięli pod uwagę wykluczenie finansowe i społeczne prawie 12 proc. mieszkańców Nowego Jorku, którzy nie mają żadnych rachunków bankowych. Napiętnowali również sklepy i restauracje bezgotówkowe za „elitaryzm” i marginalizowanie mniejszości.

**Wydaje się, że minister Kościński, czerpiąc wzory ex Oriente lux i tropiąc finansowych oszustów, zanim zlikwiduje wynalazek Fenicjan, powinien zważyć jednak również zdroworozsądkowe argumenty dochodzące z półkuli Zachodniej…**

Milczenie złe i dobre- Paweł Badzio

75. rocznica wyzwolenia Auschwitz. Najważniejsi (tutaj) są ci, którzy są świadkami historii, ci, którzy przeżyli i widzieli na własne oczy zagładę – słowa prezydenta powinny być ostatnim akordem w walce o prawdę, dla której II wojna światowa stała się tworzywem. Powinny być, ale nie były.

Czy uczestnicy sporu mogli być tak wstrząśnięci złem, by zamilknąć?

Milczenie to zło

Tak przynajmniej zinterpretowali słowa Mariana Turskiego, ofiary obozu, niektórzy dziennikarze. Turski, sam dziennikarz „Polityki”, powiedział podczas uroczystości: I ja im mówiłem: „To może być u was (Auschwitz). Jeżeli się łamie prawa obywatelskie, jeżeli się nie docenia praw mniejszości, jeżeli się je likwiduje. Jeżeli nagina się prawo, tak jak to czyniono w Selmie, wtedy to się może zdarzyć”. Co zrobić? Wy sami, mówiłem im. Jeśli potraficie obronić konstytucję, wasze prawa, wasz porządek demokratyczny, broniąc praw mniejszości – wtedy potraficie to pokonać. Komentuje to @DWielowieyska: Przejmujące przemówienie. Jeśli nie wysłuchaliście, to przeczytajcie. A potem pomyślcie sobie o „strefach wolnych od LGBT”, promowanych przez niektórych działaczy PiS, nacjonalistów i prorządowe gazety. Wtóruje jej @lis\_tomasz: „Dziękuję panu Marianowi Turskiemu za mądre i poruszające wystąpienie. @FilipMemches: „Co za haniebny tweet. Jak można porównywać brutalne, zbrodnicze wykluczanie ze społeczeństwa ludzi określonej narodowości ze sprzeciwem wobec rozwiązań prawno-społecznych, które niszczą podstawy naszej cywilizacji”? AleksanderTwardowski, dziennikarz Liberte, piszący jako @OloCzarny cytuje również Mariana Turskiego, puentując: Mina Dudy bezcenna. @pietruszkanatki: „Zawsze się musi znaleźć taki głupi Twardowski, który obchody w Auschwitz za wszelką cenę będzie chciał wpisać w wojnę polityczną polsko-polską”. @OzdobaJacek: „W tvn już zupełnie zwariowali. Zestawiają Auschwitz z ustawą reformującą sądy. Jak Wam nie wstyd robić tak obrzydliwe rzeczy”?! Któryś z internautów: „Fakt, nie można być obojętnym, jak się opluwa Polskę, jak robi się z niej antysemickie państwo, prawdą jest, że ten pan przeżył Auschwitz, żeby zaraz po wyzwoleniu obozu trafić do PPR/PZPR, do tej partii, o której więzieniach rtm Pilecki mówił, że Auschwitz to przedszkole”. @SolakKrzysztof: „Nikt w RP nie prześladuje homoseksualistow,lesbijek- pracują, żyją, uczą się ,mają dostęp do wszystkich praw i przywilejów gwarantowanych jako obywatele a wykolejeńcy obrażający wiarę wartości i obyczaje innych to nie mniejszość - działaczko szczujni GW”. Ponieważ cytowane jest również zdanie b. premiera Austrii: Auschwitz nie spadło z nieba, @Oli\_Pochwat pisze: „Gułagi też nie spadły z nieba”. @johnsmiths74 przypomina słowa Grzegorza Schetyny, które według niego miały uruchomić proces wykluczenia: ”Zmobilizować wszystkie pozytywne siły i strząsnąć ze zdrowego drzewa naszego państwa PiSowską szarańczę”. @propisalski cytuje TVN: „dorżniemy watahy - Jeszcze jedna bitwa, dorżniemy watahy. Donku, panie marszałku, liczymy na pana w poniedziałek – mówił z wojskowym zacięciem były szef MON Radosław Sikorski”

Mowa mowie nie równa

W sobotę, gdy działacze Platformy Obywatelskiej wybrali Borysa Budkę na nowego szefa partii, były szef MSZ napisał na Twitterze: „Władysław Gomułka wrócił? Ponoć historia powtarza się jako farsa”. Ten wpis nie spodobał się wymienianej już wyżej Dominice Wielowieyskiej, która pytała Witolda Waszczykowskiego, co by powiedział, gdyby ktoś tak powiedział o prezydencie Andrzeju Dudzie albo prezesie Jarosławie Kaczyńskim. Waszczykowski, przypomniał więc słowa Leszka Balcerowicza, który stwierdził: „Andrzej Duda zachowuje się jak Gomułka i mówi jak Moczar”. Wielowieyska tłumaczyła, że Balcerowicz sformułował swoje słowa nieco inaczej, ale w żaden sposób nie tłumaczy to byłego ministra finansów. B. minister spraw zagranicznych spotkał się z intensywnym hejtem, który mniej więcej oddaje tweet @Arkadiu17612580: „Proszę sobie kupić zamiast super trendy marynarki XXXL vel plandeka, duży kaptur na głowę żeby Pana myśli nie opuszczały tej mądrej głowy. I szybko Twitter wracał w swoje stare koleiny. @WosztylArtur: „ Jaka ciekawostka! B. Zdziennicki, szef stowarzyszenia Themis, które dziś broni niezależności polskich sądów, w latach 80. był w radzie legislacyjnej przy komunistycznych premierach – W. Jaruzelskim i Z. Messnerze. Prywatnie jest mężem M. Gersdorf. Informacja, która daje coś do myślenia w sporze o polski wymiar sprawiedliwości. @DominikKucinsk: „Donald @donaldtusk miał czas i chęć, aby na TT upamiętniać śmierć prezydenta Adamowicza, ale nie miał minuty, aby jakkolwiek zaznaczyć fakt upamiętnienia 75. rocznicy wyzwolenia KL Auschwitz. Ktoś ma pomysł, skąd taka dysproporcja”? Zwolennicy Donalda Tuska mogliby twierdzić, że milczenie wobec grozy jest najbardziej właściwe. Ale nie spotkałem się z taką interpretacją.

Milczenie jest dobre

Kilka godzin po uroczystościach w Auschwitz tweet @tterlikowski zatrząsnął opinią publiczną:”Myśląc o Auschwitz warto pamiętać, że to nie jest tak, że tylko oni, mityczni naziści, Niemcy byli do tego zdolni. My też jesteśmy. Dzisiaj i teraz. Wcale nie jesteśmy lepsi”. @Zabiegana:”Proszę pisać w swoim imieniu! Oburzający wpis. Sprzedał się Pan. Od bardzo długiego czasu”. @gloswolny: „Zestawia Pan Polaków z nazistowskimi Niemcami, pisze ze my nawet teraz jesteśmy do tego (holocaust!) zdolni? Na jakiej podstawie”?@Toolekw:”W Oświęcimiu Niemcy zamordowali wujka mojej mamy – katolickiego księdza. Takiego relatywizmu „wszyscy jesteśmy trochę winni” nie trawię i nie toleruję”.@miloszlodowski: „Mnie jednego brata dziadka, drugi był tam przejazdem, skończyli go potem w Mauthaussen Gusen, tam też próbowali wykończyć siostrę babci, ale cudem przeżyła... Trzeci z braci - zakończył życie w KL Leitmeriz, czyli w Litomierzycach. Więc bez tego rozdzielania łaskawego winy proszę”. @PrawaStronaa: „Nie bronię Terlikowskiego ale napisał prawdę i nie tylko Polacy ale i każdy naród na świecie mógłby to zrobić. Taka prawda”

@ClaudinioPL: „Bzdury. Jest kilka narodów które robiły to w przeszłości. Niemcy, Turcy, Japończycy...Oni planowali ludobójstwa”. Zwolennicy Tomasza Terlikowskiego piszą, że chodziło mu o wymiar teologiczny zła: „Nie zamierzam licytować się o lepszość. Ale faktem jest, że każdy człowiek, który odrzuca Boga i Jego Prawo, zdolny jest do największych podłości i zbrodni. Święci, znając własne serce i głębię ludzkiej duszy, podpisaliby się pod słowami”. Bratpafnucy: „Możemy się zżymać na Terlika, ale chyba tylko takie dyskusje są ciekawe. Przywykliśmy do nieustannego potakiwania we własnym gronie i w tematach, w których każdy prezentuje zbliżone stanowisko”. Trzeba by jednak przypomnieć Terlikowskiemu, powołując się na znanego teologa, że człowiek nie może decydować o bytach potencjalnych. Kondycja ludzka skażona jest złem, nasza również i są na to dowody, ale to Niemcy są odpowiedzialni za Holocaust.

**A osobom, którzy uważają, że słowa Mariana Turskiego są lekturą obowiązkową, odpowiem nieskromnie własnym twittem: „A może Arendt? Według. niej odkrycie rasy doprowadziło ludzi pokrojów Kurtza (bohatera „Jądra Ciemności” Conrada) do pojęcia rasy panów. Rozwój europejskich imperiów kolonialnych, oparty był na dwóch zasadach: po pierwsze rasa jest podstawą struktury społecznej, po drugie biurokracja jest zasadą rządzenia innymi”.**

PIŁSUDSKI W PAPROCI DUŻEJ- Michał Mońko

Nieopodal wsi Srebrna i Ruskołęka w parafii Andrzejewo, między rzeczkami Mały Brok, Łętawka i Wągroda, na ziemi zwanej paprotną, osadzono po trzecim rozbiorze Polski niemiecką wieś o nazwie Königshuld. Wieś kilkudziesięciu rodzin miała pierwotnie kształt kolisty o średnicy 300 metrów. Na planie wsi pruski geometra zaznaczył kościółek (kircha), cmentarz, dom pastora, szkołę, młyn wodny, a wokół gospodarstwa.

Ta wieś z ewangelickim niegdyś kościółkiem, nie istnieje w filmie telewizyjnym: „Młody Piłsudski”. Nie istnieje, a powinna istnieć. Bo w tej wsi bywał Piłsudski ze swymi bojowcami. Mało tego. W kościółku, który po odbudowie, stoi dziś w środku wsi, jak stał w 1899 roku, młody Piłsudski brał ślub z Marią Juszkiewicz.

Osiedleńcami wsi Königshuld byli Niemcy z Mecklenburgii, z Wirtembergii i z Saksonii. W sąsiedztwie Königshuld wojska pruskie zasiedliły wsie: Luisenau, dziś Pęchratka; Wilhelmdorf, dziś Króle; Klein Königshuld, dziś Paproć Mała; Mecklenburg, dziś Kowalówka. Dziś jeszcze powtarzają się nazwiska w parafii Andrzejewo, gmina Szumowo: Grünfelder, Koch, Schultz, Busch, Knajp, Grünstück, Buse, Cukierman, Tüll, Gertz, Bauer, Hammerschmidt i Lehmann.

Nazwiska, język i ewangelicka wiara były obce w katolickiej parafii, ale do konfliktu między Niemcami, a miejscową ludnością nigdy nie doszło. „W czasie wojny, mogło to być 20 września 1939 roku, wojska niemieckie wysiedliły stąd naszych Niemców do Rzeszy – opowiadał Zdzisław Łuniewski, sołtys Paproci Dużej, z którym w latach osiemdziesiątych rozmawiałem o możliwości odbudowy kościółka.

Po roku 1989, w nowej Polsce, Niemcy zaczęli przyjeżdżać do Paproci Dużej autokarami i samochodami osobowymi. Z podziwem patrzyli jak odbudowuje się kościół, dokładnie taki, do jakiego oni chodzili, tylko już katolicki.

Potomek niemieckich osadników, nieżyjący już Stanisław Knajp, z którym począwszy od 1976 roku kilkakrotnie rozmawiałem, twierdził, że Niemcy dość szybko nabrali szacunku do Polaków. Przekonali się, że Polacy dorównują im w pracowitości, przewyższają zaś w umiejętnościach budowy domów, w stawianiu pieców i w osuszaniu pól po powodziach.

W roku 1798 pruski minister Fryderyk Leopold von Schrötter wezwał deputacje parafialne z Prus Nowowschodnich, aby przybyły do Królewca złożyć przysięgę na wierność królowi Fryderykowi Wilhelmowi III. Prusy Nowowschodnie obejmowały wówczas tereny między Wisłą, Bugiem i Niemnem. Były to ówczesne województwa: płockie, dobrzyńskie, część mazowieckiego, znaczna część podlaskiego i trockiego, niewielka część Żmudzi.

Między wieloma deputacjami była także deputacja parafialna katolików z Andrzejewa i deputacja ewangelików z Königshuld i z Łomży. Do przybyłych 5 czerwca 1798 roku przemówił król pruski:

„Ja, Fryderyk Wilhelm III z łaski Bożej król Prus, margrabia Brandenburgii, książę – elektor Świętego Cesarstwa Rzymskiego, suweren i wielki książę Śląska, książę-suweren Oranii, Neuchâtel, prowincji Neuostpreussen i hrabstwa kłodzkiego, książę Geldrii, Magdeburga et. etc. biorę w opiekę chłopa polskiego z zamiarem uczynienia go rozumnym i wiernym poddanym królestwa Prus…”.

Wieś pod urzędową nazwą Königshuld przetrwała zaledwie kilka lat, bo już 24 czerwca 1807 roku weszła do wsi legia polska pod dowództwem gen. Józefa Zajączka, późniejszego namiestnika Królestwa Polskiego. Odtąd katolicy nazywali wieś: Paproć Duża, a Niemcy: Gross Paprotsch. Nazwa wsi pochodziła od prastarej nazwy nadrzecznych łąk, pokrytych dorodną paprocią i skrzypem polnym.

Co zostało po Königshuld? Zostały nazwy miejsc i spolszczone nazwiska Niemców. Między mazowieckimi i podlaskimi nazwiskami Dzierków, Fronczyków, Łuniewskich, Gąsiorowskich, Stefańskich, Borowych, Szczepańskich zdarzają się nazwiska: Tylów, Szwarców, Grynfelderów, Bauerów, Martów, Szulców, Knajpów, Nejfeltów, Cukiermanów, Formeistrów, Gerców.

Ci, którzy mieli skolonizować i zgermanizować Polaków, ulegli sile polskości i stali się polskimi Niemcami. Stanisław Knajp opowiadał, że Niemcy z Paproci wspierali polskie powstania i wiernie służyli w polskim wojsku. Podczas wyprawy Napoleona na Moskwę w 1812 roku, kilku Niemców z Paproci Dużej zaciągnęło się do wspomagających Francuzów wojsk wirtemberskich i westwalskich.

Siedemnaście lat potem, w czasie powstania listopadowego, polscy Niemcy z Paproci, Borku i Ruskołęki pełnili służbę w łomżyńskiej Gwardii Ruchomej.

W październiku 1837 roku Konsystorz Generalny przysłał do wsi pastora Theodora Küntzla, który na zebraniu osadników zainicjował budowę kościółka. W sierpniu 1841 roku, w środku wsi położono kamień węgielny. Budowa trwała półtora roku: 18 grudnia 1842 roku kościół został otwarty i poświęcony.

 W roku 1851 przyszedł do wsi pastor Juliusz Mrongowius, dawniej członek Korporacji Akademickiej w Dorpacie. Mrongowius sprawował kapłaństwo do 1867 roku. Wziął żonę z domu Kocha. Miał dziesięcioro dzieci, sześć dziewcząt i czterech chłopców. Był dobrym kaznodzieją i przyjacielem Polaków. Odbudował kościół ewangelicki w Łomży. Jednocześnie dbał o parafian w Paproci Dużej.

W czasie powstania styczniowego Mrongowius sprowadzał z Prus transporty broni dla powstańców pułkownika Józefa Konstantego Ramotowskiego „Wawra”, za co był aresztowany i przez cztery lata więziony.

Po upadku powstania polscy Niemcy z Paproci Dużej i z Łomży byli przesiedlani w głąb Rosji. W 1867 roku przybył do Łomży pastor Kasper Mikulski, w latach 1886-1926 administrator parafii ewangelickiej w Paproci Dużej. Niezwykły to był kapłan. Gorliwy ewangelik i dobry Polak.

W domu Knajpów w Ruskołęce opowiadano, że u schyłku dziewiętnastego wieku i w pierwszych latach wieku dwudziestego odwiedzał Paproć Dużą Józef Piłsudski. Były to czasy, gdy Organizacja Bojowa PPS walczyła z carską Rosją. Opowiadano też o pastorze Mikulskim, który wspierał bojowców PPS, a później, w 1916 roku, wspomagał legionistów w Łomży. Domy pastora w Łomży i w Paproci dawały spiskowcom opiekę i gościnę.

Mało kto wie, że 15 lipca 1899 roku o godzinie 10.00 w wiejskim kościółku parafii ewangelicko-augsburskiej – jak zapisał w księdze pastor Mikulski: „stawił się do ślubu Klemens Piłsudski (Józef Klemens Piłsudski – przypisek MM), kawaler, kupiec z Łap, urodzony w majątku w Zułowie, lat 31, syn Józefa i zmarłej Marii z domu Billewicz, małżonków Piłsudskich, wyznania ewangelicko-augsburskiego”.

Stawiła się również narzeczona Piłsudskiego, „Maria Juszkiewicz z domu Koplewska, rozwiedziona z winy męża, zamieszkała w Łapach, urodzona w Wilnie, lat 33, córka zmarłego szlachcica Konstantego i Ludmiły z Chomiczów, małżonków Koplewskich, wyznania ewangelicko-augsburskiego”. Stawili się też świadkowie: Adam Piłsudski, lat 29, pomocnik architekta i Jan Piłsudski, lat 23, pracownik banku.

Przyszłemu twórcy Legionów Polskich i marszałkowi Polski, Józefowi Piłsudskiemu i Marii Juszkiewiczowej, zwanej „Piękną Panią”, ślubu udzielił pastor Kacper Mikulski.

Maria Koplewska pracowała jako nauczycielka, prowadziła salon towarzyski w Wilnie. O względy młodej rozwódki zabiegało dwu wybitnych Polaków. Jednym był Roman Dmowski, późniejszy przywódca Narodowej Demokracji. Drugim był Józef Klemens Piłsudski, przyszły Marszałek Polski. Maria Juszkiewiczowa wybrała Piłsudskiego, który siedem lat wcześniej, w 1892, powrócił z Syberii.

Piłsudski nie przypadkiem trafił do wsi Paproć Duża w parafii Andrzejewo. Wieś położona na polach, opodal Traktu Petersburskiego i w pobliżu Kolei Warszawsko-Petersburskiej, była zamieszkała przez Niemców. Pastorzy administrujący ewangelicką parafią niejednokrotnie pomagali bojowcom PPS, a wcześniej powstańcom styczniowym.

Tymczasem w maju 1906 roku Piłsudski poznał 24-letnią konspiratorkę, Aleksandrę Szczerbińską. Rok później, w czasie przygotowań do napadu na bank w Kijowie, Piłsudski wyznał Aleksandrze miłość.

Niespełna dwa lata później, Aleksandra Szczerbińska wraz z bojowcami PPS, brała udział w najważniejszej akcji PPS, w napadzie na pociąg pod Bezdanami. W akcji wzięło udział czterech późniejszych przywódców rodzącej się Polski: Józef Piłsudski, Tomasz Arciszewski, Walery Sławek i Aleksander Prystor.

Sędziwy Knajp z Ruskołęki, gdy mówił o napadzie na pociąg pod Bezdanami, ściszał głos. „Bo to, panie, diabeł nie śpi nawet po latach”. Zdaniem Knajpa, czterech spośród kilkunastu bojowców, którzy brali udział w napadzie na pociąg, nocowało z 25 na 26 września 1908 roku u pastora Mikulskiego. Przyjechali z Warszawy pociągiem do Czyżewa, skąd nad wieczorem przyszli do Paproci.

Kiedy bojowcy wchodzili do wsi, zobaczył ich ojciec Knajpa, Piotr, który szedł do młynarza Busego na skraju Paproci.

„Pola już były puste i ojciec szedł do Paproci na skróty. Trzy były młyny. Buse miał dwa koźlaki, a Koch najpierw miał wodny, a potem też koźlaka. Ale tylko Buse miał kaszarkę. No i w sprawie kaszy szedł ojciec do Busego. Dzień już się kończył. O tej porze to we wrześniu wisiała nad polami mgła. I z tej mgły wyszło czterech mężczyzn, a potem jeszcze dwie kobiety”.

Następnego dnia o świcie, nieznajomi wyszli od pastora Mikulskiego. Ten żegnał nieznajomych na polu, ściskał ich i błogosławił. A oni kierowali się przez pola do stacji w Czyżewie. Akurat szedł tego ranka do Czyżewa sąsiad Knajpów, stary Haffemann. On miał interes u kowala w Łapach.

„No i na stacji w Czyżewie ten Haffemann zauważył, że jeden z tych od pastora Mikulskiego miał pod sukmaną rewolwer. Mężczyzna niezdarnie dzierżył tobołek. Przekładał go z ręki do ręki tak ostrożnie, jakby to były jajka na targ. To była sobota, a nie dzień targowy”.

Na stacji Haffemann usłyszał imiona: Ola i Janka. Po latach, już w niepodległej Polsce, okazało się, że 26 września 1908 roku w napadzie na pociąg brały udział kobiety, między którymi była Aleksandra Szczerbińska, zwana Olą, przyszła żona Piłsudskiego, i Janina Prystorowa, Janka, żona przyszłego premiera, Prystora.

Gazety pisały, a na targach ludzie szeptali, że na stacji w Bezdanach doszło do napadu na rosyjski pociąg.

„Ojciec nigdy nie mówił, kim byli nieznajomi, których żegnał pastor Mikulski – opowiadał Knajp. – Ale dobrze wiedział, że nieznajomi byli… bojowcami. Czy był Piłsudski? Nie jest pewne. Ale te kobiety i przy nich mężczyźni. To mógł być Piłsudski ze Szczerbińską i Prystor z Janką. Nocowali u pastora Mikulskiego z dwudziestego piątego na dwudziesty szósty. O świcie pojechali do Wilna, a stamtąd do Bezdanów”.

Pewne jest tylko jedno: to Piłsudski z bojowcami 26 września 1908 roku przeprowadził akcję na pociąg pocztowy pod Bezdanami. W wyniku rozbicia kasy pocztowej, Organizacja Bojowa PPS zdobyła ponad 200 tysięcy rubli w złocie.

Osiem lat po Bezdanach, gdy w 1916 roku w Łomży koszarował 1 pułk Legionów Polskich pod dowództwem pułkownika Edwarda Rydza Śmigłego i sztab I Brygady Legionów z pułkownikiem Żegotą Januszajtysem, pastor Kacper Mikulski gościł często u siebie oficerów legionowych i odprawiał msze święte dla żołnierzy – ewangelików z Cieszyna. W roku 1919 u pastora Mikulskiego bywał Wieniawa Długoszowski, który rezydował w tym czasie w Rajgrodzie w majątkach Mościckich i Golubiewskich.

Podczas wojny polsko-bolszewickiej, 23 sierpnia 1920 roku, przybył do Łomży Józef Piłsudski. Spotkał się z pastorem Mikulskim i, wedle Knajpa, odwiedził też Paproć Dużą. Tu pochylił się nad grobem 52 ochotników z Dywizji Ochotniczej, zamordowanych przez bolszewików 4 sierpnia 1920 roku.

**Na wizycie Józefa Piłsudskiego w niewielkiej wsi nie kończy się wielka historia Paproci Dużej. Historia wsi zaczyna się w 1794 w czasie Insurekcji Kościuszkowskiej, gdy na Paprotną Ziemię przybywają wojska pruskie. I nie kończy się ani w 1939, ani w 1989. Ta historia trwa i przechodzi w teraźniejszość Paproci. A teraźniejszość wsi sięga tam, gdzie sięga pamięć żyjących mieszkańców Paproci Dużej.**

Święto Pracy – do czego jest potrzebne?- Franciszek Rozmus

Święto Pracy to doskonały sposób na połączenie tradycji ze współczesnością. Przywrócenie etosu pracy oraz zogniskowanie działań i inicjatyw związanych z szeroko pojętym patriotyzmem gospodarczym wraz z wyznaczeniem wspólnych kierunków na przyszłość. Sposób na drugi segment polityki tożsamościowej – „walka i praca”.

W III RP pojawiło się trochę nowych świąt, wszystkie świetnie się przyjęły i, pomijając aspekty państwowe, są okazją do świętowania i zrobienia imprezy (np. 3.05, 15.08, 11.11). Najlepszym tego przykładem jest chyba najmłodsze Święto Trzech Króli (6.01). Są też święta, które przestały być świętowane (np. 22.07, 12.10). Natomiast Święto Pracy (1.05) jest nadal, ale (prawie) wszyscy udają, że go nie ma. Jest to spowodowane otoczką polityczno-ideologiczną, jaka się wytworzyła wokół niego po II wojnie światowej. Międzynarodowe Święto Pracy ustanowione dla upamiętnienia masakry robotników z Chicago w 1886 r. stało się tak naprawdę świętem walki proletariatu z kapitalistami i burżujami. Hucznie obchodzone miało szczególną wagę propagandową dla poprzedniego systemu. Sama idea święta pracy nigdy jednak nie została odrzucona przez ludzi pracy, czego świetnym przykładem są kontrmanifestacje organizowane tego dnia w latach osiemdziesiątych przez podziemną „Solidarność”.

Po to, żeby dziś obchodzić Święto Pracy należy odrzucić tę narosłą otoczkę polityczno-ideologiczną i wprowadzić przymiotnik „Narodowe” zamiast „Międzynarodowe”. W naszej historii jest dużo przykładów tego, iż Polacy potrafili dobrze pracować i gospodarować, więc ta nasza tradycja powinna lec u podstawy Narodowego Święta Pracy.

Taki jest pierwszy aspekt tego święta.

Drugim, być może ważniejszym, aspektem święta pracy powinno być propagowanie patriotyzmu gospodarczego, przede wszystkim w sferze kultury i edukacji. Obecne jeszcze do niedawna w przestrzeni publicznej pojęcie patriotyzmu gospodarczego zanika powoli, stało się dostępne jedynie dla wąskich elit. Brakło paliwa? Było i jest wiele inicjatyw promujących polskie firmy i polskie towary, np. „590” w różnych odmianach, ale te działania są rozproszone i co najważniejsze nie współdziałają ze sobą. Potrzebny jest spinacz, wspólny mianownik dla inicjatyw i postaw w obszarze patriotyzmu gospodarczego, żeby mogły sobie pomagać dla osiągnięcia wspólnych celów i były stale obecne w świadomości społecznej. Takim spinaczem powinno być Narodowe Święto Pracy.

Bardzo ważne jest podjęcie działań w sferze edukacji.

– Babciu, wyłącz gaz – usłyszała moja znajoma, pani Gienia, podczas odwiedzin wnuków – żeby się niepotrzebnie nie palił. A jak ładnie potrafią segregować śmieci – dodaje Pani Gienia – takich rzeczy uczą się w szkole. Z okazji rocznicy wybuchu powstania styczniowego mała wnuczka pochwaliła się też znajomością wiersza „Kto ty jesteś?”, na którym wychowały się pokolenia Polaków. Takim elementem umiłowania ojczyzny powinno też być kupowanie cukierków albo czekolady wyprodukowanych w Polsce, tego jednak dzieci nie są uczone. Przykłady z gazem i śmieciami udowadniają skuteczność edukacji szkolnej.

W Europie Zachodniej obywatele zdecydowanie preferują produkty i usługi wytworzone w oparciu o kapitał krajowy, pracowników krajowych, przedsiębiorstwa mające krajowych właścicieli.

Takie zachowania mogą być ważnym czynnikiem ekonomicznym, tylko ludzie muszą dostrzec, że to ma wartość.

Bo czy praca stanowi u nas wartość? Premier Mateusz Morawiecki ciężko pracuje, jego działania przynoszą wymierne efekty, dziesiątki lub setki miliardów złotych trafiły bezpośrednio do mieszkańców naszego kraju. Czy taka praca stanowi wartość w wymiarze społecznym?

Praca obok walki powinna być podstawą naszej tożsamości narodowej, bo takie są wymagania współczesnego świata.

700 lat temu, 20 stycznia 1370 r. w Katedrze Wawelskiej odbyła się koronacja Władysława Łokietka. Katedra była zniszczona po pożarze w 1305 r. Katedra i całe królestwo wymagały pilnego remontu. I ten remont został przeprowadzony poprzez konsekwentnie wprowadzane reformy i wytężoną pracę za czasów króla Kazimierza Wielkiego.

**Naprawa dzisiejszej Polski też wymaga wysiłku. Narodowe Święto Pracy mogłoby ogniskować ten wysiłek.**

Z akt osobowych pracownika naukowego Kornela Morawieckiego- Krystian Leopold Chrzan

Kornel Morawiecki urodził się 3.05.1941 r. w Warszawie. Rodzice Michał Andrzej (1914-1977) i matka Jadwiga z Szumańskich (1912-1975) zawarli związek małżeński w Warszawie w styczniu 1939. Państwo Morawieccy mieszkali na Pradze w niewielkim mieszkaniu przy ulicy Mińskiej 26/14. Ojciec z małą maturą był tramwajarzem, a matka udzielała lekcji języka angielskiego. Ojciec we wrześniu 1939 r. został zmobilizowany, udało mu się uniknąć wzięcia do niewoli.

W latach 1954-1958 uczęszczał do Liceum im. Adama Mickiewicza na Saskiej Kępie. Po maturze, w wieku 17 lat zdawał bez powodzenia na Wydział Lekarski Akademii Medycznej w Warszawie. Nie mógł jeszcze w tym samym roku zdawać na interesujący go kierunek studiów w Warszawie. Dlatego wybrał Wydział Fizyki Uniwersytetu Wrocławskiego, na który go przyjęto.

W 1959 r. ożenił się z Jadwigą, nauczycielką chemii. 31.10.1963 uzyskał dyplom magistra nauki na podstawie pracy „Przybliżona metoda obliczania całek funkcjonalnych”. W październiku 1963 został przyjęty na staż w Instytucie Fizyki Teoretycznej Uniwersytetu Wrocławskiego, a następnie na studia doktoranckie (1964-1968). Dzięki staraniom opiekuna naukowego prof. Jana Rzewuskiego, rektor Uniwersytetu Wrocławskiego, Alfred Jahn powołał Kornela Morawieckiego na stanowisko starszego asystenta w Katedrze Geometrii na Wydziale Matematyki, Fizyki i Chemii na okres 1.10.1968 r.-30.09.1971 r. Na podstawie rozprawy doktorskiej „Funkcjonalna teoria S-macierzy dla pola wektorowego i elektrodynamiki” uzyskał w dniu 17.03.1971 r. stopień doktora nauk fizycznych i stanowisko adiunkta kontraktowego z uposażeniem 3900 złotych. Za pracę doktorską otrzymał również nagrodę Ministra Szkolnictwa Wyższego.

Od 1.10.1971 Kornel Morawiecki rozpoczął pracę w Instytucie Matematyki Uniwersytetu Wrocławskiego. Tę zmianę wyjaśnia opinia napisana przez docenta dr. Andrzeja Krzywickiego:

„Kornel Morawiecki, adiunkt przy Zakładzie Równań Różniczkowych Instytutu Matematycznego Uniwersytetu Wrocławskiego został mianowany na to stanowisko w początku bieżącego roku akademickiego. Mimo, że dr Morawiecki ukończył studia fizyki i doktoryzował się na podstawie pracy z zagadnień fizyki teoretycznej, Rada Instytutu uznała za właściwe wystąpienie o awans na adiunkta i zatrudnienie go na tym stanowisku w Instytucie Matematycznym z uwagi na jego zalety dydaktyczne, zainteresowania matematyczne i korzyść, jaką widzą matematycy w rozwijaniu współpracy z ludźmi zajmującymi się twórczo fizyką teoretyczną. Ponadto uważamy, że właśnie fizyk teoretyk zajmujący się również matematyką najlepiej poprowadzi wykłady z mechaniki teoretycznej, które są mu powierzane. Ponadto poprowadzi wykłady z Analizy Matematycznej dla studentów I roku, ćwiczenia z równań różniczkowych zwyczajnych i cząstkowych, jak również z analizy. Uważam go za wartościowego pracownika naszego Instytutu”.

4.07.1973 r. prof. Stanisław Gładysz, dyrektor Instytutu prosi rektora Politechniki Tadeusza Porębskiego, aby wystąpił do Uniwersytetu Wrocławskiego o zezwolenie na przejście Kornela Morawieckiego do Instytutu Matematyki i Fizyki Teoretycznej Politechniki Wrocławskiej. Po dwóch miesiącach Rektor Tadeusz Porębski mianuje doktora Morawieckiego adiunktem w Instytucie Matematyki i Fizyki Teoretycznej Politechniki Wrocławskiej z uposażeniem zasadniczym 4000 złotych. Ten sam rektor po dwóch latach pisze: „W związku z zaliczeniem przez Obywatela Magistra (?) wyniku egzaminu na Wydziale Górnictwa studentom nie dopuszczonym do sesji, udzielam Obywatelowi wytknięcia. Pragnę zwrócić uwagę, iż pracownicy są zobowiązani do przestrzegania ustaleń dotyczących procesu dydaktycznego”.

Pomimo wytknięcia rektora doktor Morawiecki otrzymuje w kolejnych latach znaczące podwyżki uposażenia: 4750 zł w 1977, 5850 zł w 1978 i 6500 zł w 1980.

9.01.1982 r. sędzia kpt dr Zygmunt Wiśniewski zawiadamia rektora Tadeusza Zipsera, że postanowieniem Sądu Okręgowego Śląskiego Okręgu Wojskowego we Wrocławiu z 8.01.1982 r.

1. postępowanie karne w sprawie cywilnej Kornela Morawieckiego zawieszono do czasu jego ujęcia;

2. zamieniono środek zapobiegawczy i zastosowano wobec oskarżonego tymczasowe aresztowanie;

3. wszczęto poszukiwania oskarżonego listem gończym.

22.03.1982 r. Pion Służb Pracowniczych wydaje świadectwo pracy: „Kornel Morawiecki był zatrudniony na Politechnice Wrocławskiej od 1.09.1973 do 12.12.1981, otrzymywał wynagrodzenie 6000 + 400 dodatku specjalnego + 1300 dodatki kwotowe. Stosunek pracy został rozwiązany w trybie art. 97 ust. 1 pkt. 5 Karty Praw i Obowiązków Nauczyciela (samowolne uchylanie się od pracy)”.

Od grudnia 1981 r. do listopada 1987 r. Kornel Morawiecki ukrywał się we Wrocławiu i jego okolicach. Po aresztowaniu w dniu 9.11.1987 r. spędził sześć miesięcy w więzieniu i cztery miesiące za granicą. Pod koniec sierpnia 1988 r. wrócił z Wiednia razem z Jerzym Przystawą i z paszportem mieszkającego w Stanach Zjednoczonych Kazimierza Głowackiego. Jednak do lata 1990 r. nadal pozostawał w ukryciu.

Po dziesięciu latach przerwy w pracy na Politechnice, Kornel Morawiecki stara się o przyjęcie do pracy w Instytucie Fizyki PWr. I-9. Z intencją jego zatrudnienia wystąpił dr Mirosław Zabierowski kierujący samodzielnym Zakładem Fizyki Teoretycznej na wydziale PPT. Jego starania podjęte u profesorów: Galasiewicza, Czerwonki, Jagoszewskiego, Rzewuskiego oraz rektora Wiszniewskiego spotykały się z odmową. W 1991 r. Zabierowski powrócił do Instytutu Nauk Ekonomiczno-Społecznych, z którego został wyrzucony w stanie wojennym i podjął ponowne starania o przywrócenie do pracy Kornela Morawieckiego, tym razem w Zakładzie Socjologii i Filozofii Instytutu Nauk Ekonomiczno-Społecznych I-22.

„Pan dr Kornel Morawiecki nie zgłosił wniosku o zamieszczenie w świadectwie pracy informacji o której mowa w art. 1 ustawy z 24.05.1989 r. o szczególnych uprawnieniach niektórych osób do ponownego nawiązania stosunku pracy. Upłynął przewidziany na ten cel trzyletni termin”. Zdaniem Zabierowskiego kilkuletnia zwłoka w zatrudnieniu Morawieckiego była umyślna. Dlatego do wysługi lat Kornelowi Morawieckiemu nie można było zaliczyć uprawnień pracowniczych z okresu pozostawania bez pracy tj. od 12.12.1981 r.-30.09.1993 r. W procedurze przyjmowania Kornela Morawieckiego do pracy pojawiła się ponadto trudność formalna. Dr hab. Mirosław Zabierowski poparł Jego zatrudnienie w Zakładzie Socjologii i Filozofii Instytutu I-22: „W zespole Filozofii i Metodologii Nauk Empirycznych pracowali zawsze przedstawiciele wielu dyscyplin humanistycznych, przyrodniczych, a nawet technicznych. Ta interdyscyplinarność pozwoliła rozwijać metodologię nauk empirycznych i filozofię przyrody w niespotykany gdzie indziej – oryginalny, twórczy i odpowiedni sposób”. Jednakże zwrócił uwagę, że w konkursie na adiunkta według ustawy o Szkolnictwie Wyższym powinna wziąć udział osoba, która nie była zatrudniona jako adiunkt (a Kornel Morawiecki był już adiunktem). Stąd Mirosław Zabierowski uważał, że fizyk Kornel Morawiecki powinien być zatrudniony w trybie natychmiastowym a nie konkursowym w Instytucie Fizyki PPT, o co ubiegał się u rektora Andrzeja Wiszniewskiego od jesieni 1990 r.

11.05.1993 r. w głosowaniu dotyczących przyjęcia Kornela Morawieckiego na Radzie Wydziału Informatyki i Zarządzania, 13 głosów było przeciw, 6 głosów było za przyjęciem (nikt nie wstrzymał się od głosowania). Dlatego Dyrektor Instytutu dr Stanisław Balicki i dziekan prof. Ryszard Łubniewski zwrócili się do rektora o podjęcie ostatecznej decyzji. Rektor Andrzej Wiszniewski podjął decyzję o przyjęciu Kornela Morawieckiego do pracy na okres jednego roku akademickiego. Umowę dwukrotnie przedłużano do 30.09.1995 r. i do 30.09.1996 r. z pensją 4 300 000 zł. (czy wartość pensji jest prawidłowa?)

30.09.1996 r. Kornel Morawiecki został ponownie przyjęty do Instytutu Matematyki I-18 Wydziału Podstawowych Problemów Techniki na okres tylko trzech lat. Niestety jego wniosek o przyjęcie do pracy na czas nieokreślony został w głosowaniu odrzucony (7 głosów – za, 9 głosów – przeciw, 0 głosów wstrzymujących się). Dopiero 1.07.1999 r. rektor Andrzej Mulak mianował Kornela Morawieckiego adiunktem na czas nieokreślony z wynagrodzeniem 1650 zł.

W latach dziewięćdziesiątych wprowadzono okresowe oceny nauczycieli akademickich. Kornel Morawiecki był oceniany za okres 1994-1998 r. i 1998-2000 r. Oceny za działalność dydaktyczną i organizacyjną były dobre lub bardzo dobre. Jednak za działalność naukową były niskie (dostateczna w 1998 i niedostateczna w 2000), ponieważ Kornel Morawiecki w tym okresie nie opublikował żadnej pracy naukowej. W związku z tym dziekan Ryszard Grząślewicz przeniósł dr Kornela Morawieckiego i innych pracowników, dr M. Gewera, dr J. Górniaka, dr M. Lewandowskiego, dr K. Orłowskiego, dr P. Scherwetkę, dr Z. Skoczylasa na stanowisko starszego wykładowcy. Zmiana stanowiska odbyła się za zgodą Kornela Morawieckiego i przy zachowaniu ówczesnego uposażenia (2120 zł).

30.09.2009 r. Kornel Morawiecki na własną prośbę przeszedł na emeryturę.

W ankiecie osobowej z 1993 Kornel Morawiecki podaje:

Odznaczenia: Krzyż Zasługi nadany w 1988 r. przez Rząd RP na Uchodźctwie w Londynie.

Przynależność do organizacji politycznych i społecznych:

Zrzeszenie Studentów Polskich – w czasie studiów, 1980-1989 – NSZZ Solidarność, 1982-1993 – Solidarność Walcząca, 1990-1991 – Partia Wolności, pierwsze półrocze 1991 r. – redaktor naczelny gazety „Dni”

Spis publikacji i opracowań sporządzony przez Kornela Morawieckiego w 1993 r.

I. Prace z fizyki teoretycznej

1. On functional S-matrix theory. Generalization for vector field with mass. Acta Physica Polonica, t. XXIII, 1968 r., 733-742

2. Fractional description of quantum electrodynamics in Culomb and Feynman gauges. Acta Physica Polonica, t. XXXIX, 1971 r., 45-58

II. Prace z ochrony środowiska

1. szereg raportów wraz z Prof. Kazimierzem Wojciechowskim na temat rozprzestrzeniania się zanieczyszczeń gazowych i pyłowych. Podawały sposoby obliczania krótko i długotrwałych stężeń zanieczyszczeń w atmosferze.

2. Morawiecki Kornel, Kiejdan Adam, Wojciechowski Kazimierz, Obliczanie zanieczyszczeń powietrza z uwzględnieniem klas pogodowych i model emisji o różnej geometrii. Cuprum, 1976, nr 6, 46-49

III. Prace z zastosowań matematyki

1. Jastrzębski Tomasz, Kordecki Wojciech, Morawiecki Kornel, Pomierski Roger, Podstawy matematyczne systemu użytkowania i odnowy. Raporty Instytutu Matematyki PWr, 1976, nr 272, stron 117

2. Pomierski Roger, Jastrzębski Tomasz, Kordecki Wojciech, Morawiecki Kornel, Rubaszek Andrzej, Waszkiewicz Jan, Zagadnienia awaryjności parku maszynowego, cz. I, Raport Instytutu Matematyki PWr, 1977, nr 281, stron 118

3. Pomierski R., Morawiecki K., Kordecki W., Rubaszek A., Zagadnienia awaryjności systemów, cz. III, Raport Instytutu Matematyki PWr, 1979, seria SPR nr 4, stron 79

IV. Artykuły i eseje polityczno-społeczne

1. Szereg publikacji w Biuletynie Dolnośląskim w latach 1979-1988

2. Esej polityczny „Walka o serca i umysły” opublikowany w wydawanym w Paryżu kwartalniku Libertas (Ed. Spotkania), 1988r.

3. Zasady ideowe i Program Solidarności Walczącej. Czerwiec 1987

4. Nieopublikowany artykuł analityczno-programowy pt. Uwarunkowania i stan polskiej gry”, styczeń 1989

5. Gramy o los Polski, polemika ze St. Bratkowskim, opublikowana w prasie emigracyjnej w maju i czerwcu 1991

6. Esej polityczny opublikowany w miesięczniku Odra w 1991

7. Program partii Wolności i programy wyborcze z lat 1990-1991

Post Scriptum

W 2000 r. Kornel Morawiecki otrzymał nagrodę jubileuszową za 20 lat pracy w wysokości 75 proc. uposażenia miesięcznego a w 2005 r. za 25 lat pracy. Zatem uznano, że do 2009 roku przepracował 29 lat. Gdyby pracował cały czas do roku 2009 bez przerwy, bez ukrywania się, więzienia i czasu spędzonego na wygnaniu, miałby o dwanaście lat dłuższy czas pracy. W swej autobiografii Kornel Morawiecki tak komentuje okres konspiracji: „Zaległości z lat poświęconych na konspirację, zaczęli też nadrabiać liczni członkowie Solidarności Walczącej. Kilku zostało profesorami, choć większość z tych, którzy gdyby nie stan wojenny na pewno obroniliby doktoraty i habilitacje, już tego nie dokonała. Życiowe zaległości mieliśmy wszyscy. Niesłusznie mało się pamięta o takich kosztach podziemnej działalności”.

**Opracowano na postawie akt osobowych dr Kornela Morawieckiego znajdujących się w Archiwum Politechniki Wrocławskiej.**

Honorowy Obywatel Trzebnicy- Alicja Grzymalska

24 stycznia 2020 roku w Gminnym Centrum Kultury odbyła się uroczystość wręczenia tytułów „Zasłużony dla Gminy Trzebnica” oraz „Honorowy Obywatel Trzebnicy”. Laureatem został między innymi ś.p. Marszałek Senior Kornel Morawiecki.

Burmistrz Gminy Trzebnica, pan Marek Długozima, wnioskując do Rady Miejskiej o nadanie śp. Kornelowi Morawieckiemu tytułu Honorowego Obywatela Trzebnicy napisał: „Pan Kornel Morawiecki to Niezłomny Wojownik w walce o wolną, suwerenną i niepodległą Polskę. Wspaniały patriota. Człowiek-legenda. Jestem pełen podziwu dla odwagi i determinacji, z jaką Pan Kornel Morawiecki dbał o to, by Polska była krajem wolnym, silnym, dumnym z własnej historii i bogatych tradycji. Waleczny i nieprzeciętnie odważny, a przy tym - z osobistych rozmów z jego bliskimi, córką Panią Anną Morawiecką i synem - Premierem RP Panem Mateuszem Morawieckim wiem, że to człowiek łagodny i delikatny, skromny, o dużej kulturze osobistej, rozległej wiedzy, błyskotliwej inteligencji.

Jego postawa szacunku, umiłowania i oddania własnej ojczyźnie zasługują na najwyższe uznanie i podziw, jednocześnie bliskie są wartościom ważnym w Gminie Trzebnica. Myśląc o rozwoju naszej gminy pamiętam, by troska o pamięć historyczną, kultywowanie tradycji, krzewienie postaw patriotycznych, były równie ważnym kierunkiem dla dynamicznych zmian, które w niej zachodzą. Również wychowanie patriotyczne dzieci i młodzieży stanowi jedno z wielu zadań Gminy Trzebnica, podobnie jak budowanie mostów między pokoleniami, czczenie pamięci o historii i bohaterach, wspieranie uniwersalnych wartości miłości do Ojczyzny, zarówno w wymiarze lokalnym, jak i państwowym. Odbywa się to na wielu płaszczyznach i przy okazji różnych wydarzeń angażujących zarówno młodzież oraz dzieci, jak i organizacje kombatanckie, a także całe rodziny. Dbam o to, by upamiętniać symbole, miejsca, ale także i ludzi. Z wymienionych powyżej względów uważam, że nadanie Panu Kornelowi Morawieckiemu tytułu Honorowy Obywatel Trzebnicy jest celowe i zasadne”.

Premier Mateusz Morawiecki w swoim liście przesłanym do uczestników uroczystości napisał:

„Dziękuję, że doceniliście Państwo patriotyzm mojego Ojca przez lata związanego z Dolnym Śląskiem, tutaj działającego w antykomunistycznej opozycji. Jestem dumny, że wyznawane przez Niego wartości urzeczywistniły się w naszej współczesnej, niepodległej Polsce. Dziś możemy czerpać z dziedzictwa wolności i solidarności, którego był współtwórcą. Ojciec odchodził od nas z wielkim pragnieniem pojednania miedzy Polakami. Jesteśmy Mu winni tę troskę i odpowiedzialność za obecny kształt naszej wspólnej Ojczyzny.

Gratuluję również wyróżnionym tytułem Zasłużony dla Gminy Trzebnica. To dzięki Państwa zaangażowaniu i aktywności Trzebnica wciąż się rozwija, jest doskonałym miejscem do życia. To Państwo stanowicie inspirację i przykład jak dbać o małą ojczyznę i współtworzyć wspólne dobro”.

Na pierwszym posiedzeniu Sejmu VIII kadencji (12 listopada 2015 roku) Kornel Morawiecki powiedział: „Niosę Ciebie Polsko, jak żagiew, jak płomienie, gdzie cię doniosę, nie wiem. Po latach 80. donieśliśmy Polskę do naszych dni. Niesiemy Ciebie Polsko, jak żagiew, jak płomienie, gdzie Cię doniesiemy?” – pytał.

**I z tym pytaniem zostawił nas, wszystkich Polaków. Z pytaniem, które każdego dnia powinniśmy sobie zadawać.**

W Grecji prezesów sądów wybiera Rada Ministrów- Andrzej Bafalukosz

Fakt wybrania pani Ekateriny Sakellaropulu na prezydenta Grecji obiegł media światowe nie ze względu na pozycję prezydenta w tym kraju, lecz na okoliczność: Sakellaropulu jest pierwszą kobietą w Grecji na tak eksponowanym stanowisku.

22 stycznia 2020 r. niewątpliwie przejdzie do historii parlamentaryzmu greckiego – 261 posłów z rządzącej Nowej Demokracji i opozycji zagłosowało za tym wyborem, zgłoszonym dosłownie kilka dni wcześniej przez premiera i szefa rządzącej partii, Kyriakosa Micotakisa. Dla ścisłości podajmy, że grecki parlament liczy 300 posłów, liczba symboliczna nawiązująca z pewną dozą megalomanii do sławnych 300 Spartan poległych w wąwozie termopilskim.

To, że prezydent w Grecji jest wybierany przez parlament, a nie w wyborach powszechnych świadczy o tym, że rola prezydenta jest właściwie tylko reprezentacyjna, co jest zgodne z konstytucją i polityczną rzeczywistością Grecji.

Głosowanie nad wyborem prezydenta wcale nie było przesądzone i nikt się nie spodziewał, że przejdzie tak zgodnie i gładko. Opozycyjna Syriza opowiadała się za ponownym wyborem dotychczasowego prezydenta Prokopisa Pawlopulosa, co oznaczało w praktyce przedłużenie cyklu głosowań, choć dzięki przyjętej niedawno nowelizacji konstytucji w kolejnych głosowaniach wystarczyłaby zwykła większość do przeprowadzenia wyboru. Micotakis jednak zaszachował opozycję i to tę lewicową, proponując kobietę, o której wiadomo, że jest wrażliwa na sprawy szeroko pojmowanej ekologii. Syriza oczywiście nie mogła sobie pozwolić na konflikt z organizacjami feministycznymi i ekologicznymi.

W depeszach prasowych podano niewiele informacji na temat samej osoby pani prezydent prócz tego, że jest prawnikiem, jest rozwiedziona i że lubi zwierzęta, bo ma dwa kotki.

Trzeba też przytoczyć tu jeden mniej znany fakt, który złamał całkowicie opór obecnej opozycji, czyli Syrizy. Otóż pani Sakellaropulu w październiku 2018 r. jako pierwsza kobieta została wybrana przez ówczesny rząd Syrizy na prezesa Sądu Najwyższego. Informacja ta może szokować w Polsce w kontekście politycznego sporu w sprawie reformy sądownictwa. W Grecji jednak jest ona oczywista, zgodna z greckim prawodawstwem. Artykuł 90. greckiej konstytucji mówi wprost, że prezesi trzech najwyższych sądów i ich zastępcy oraz prokurator generalny są wybierani przez Radę Ministrów na wniosek ministra sprawiedliwości. Później następuje ceremonia zaprzysiężenia przez prezydenta. A jaką wagę ma podpis prezydenta?

Cofnijmy się do roku 2019. Po majowych wyborach do parlamentu europejskiego i równocześnie odbywających się wyborach samorządowych, w których rządząca Syriza poniosła dotkliwą porażkę, premier Alexis Cipras postanowił ogłosić przedterminowe wybory, które wyznaczono na 6 lipca. Tymczasem 30 czerwca kończyła się kadencja przewodniczącego Sądu Najwyższego i jego trzech zastępców oraz prokuratura generalnego. W związku z wyborami opozycja, czyli Nowa Demokracja zwróciła się do rządu, by w okresie przedwyborczym wstrzymał się z istotnymi decyzjami politycznymi. Sytuacja przypominała rok 2015, gdy w Polsce nowo wybrany prezydent Andrzej Duda apelował do ówczesnej koalicji rządowej PO-PSL o niepodejmowanie działań, które mogłyby utrudniać funkcjonowanie przyszłego rządu. Jak wiadomo Platforma zignorowała apel prezydenta i na koniec swoich rządów wybrała dwóch „ponadwymiarowych” sędziów do Trybunału Konstytucyjnego, których zaprzysiężenia odmówił prezydent. Ciąg dalszy jest znany i toczy się do dzisiaj.

Podobny przebieg wypadków nastąpił w zeszłym roku w Grecji. Rząd Syrizy na tydzień przed wyborami wybrał „swoich” sędziów i prokuratora generalnego, a prezydent Pawlopulos, choć popierany przez Syrizę, odmówił ich zatwierdzenia. Po niecałych dwóch miesiącach nowy rząd Nowej Demokracji wybrał nowych sędziów i nowego prokuratora generalnego, których prezydent zatwierdził. Wokół całej tej sprawy toczyły się spory i kłótnie prawników głównie konstytucjonalistów i polityków wraz z towarzyszącą „burzą” medialną. Obecnie nikt tym się nie zajmuje i wszyscy zapomnieli o konflikcie może albo głównie dlatego, że konflikt rozegrał się wewnątrz kraju i nikomu nie przyszło na myśl, by go wynieść na zewnątrz. Nikt nie poprosił Komisji Weneckiej o radę czy przyjazd, a przecież z Wenecji do Aten jest dużo bliżej niż do Warszawy, nie zwrócono się też do „najwybitniejszego” autorytetu z Komisji Europejskiej, czyli Timmermansa. Opozycja nie oskarżyła rządu na forum europejskim o łamanie praworządności, jednym słowem poza Grecją, cicho sza!

Jak najbardziej polityczny wybór sędziów jest zagwarantowany konstytucją i nikt nie oskarża Grecji o dyktatorskie rządy. Zresztą greckim sędziom nie przychodzi do głowy, by protestować przeciwko takim regulacjom prawnym. Sędziowie greccy nie żądają też przyznania im immunitetu sędziowskiego. Tylko w zakresie sprawowania urzędu i orzecznictwa istnieje Wyższa Rada Dyscyplinarna, która może powziąć środki dyscyplinujące sędziów. W pozostałych sprawach sędzia traktowany jest – zgodnie z konstytucyjną równością obywateli – tak samo jak wszyscy inni. Gdyby na przykład sędziemu „przypadkowo” wpadło coś do kieszeni z półki sklepowej, to sędzia nie będzie się zasłaniał immunitetem, gdyż takowy nie istnieje, natomiast będzie odpowiadał przed sądem karnym, być może z „wolnej stopy”.

**Temida ma zawiązane oczy by nie widzieć, czy stoi przed nią sędzia czy ktoś niewykształcony, ona ma wydać wyrok sprawiedliwy.**

Czy smak kawy zależy od rodzaju filiżanki?

Według brazylijskich naukowców tak. Przeprowadzili badania w których wzięło udział ponad 230 osób.

Celem badania było sprawdzenie czy smak kawy zależy od naczynia w którym jest ona wypijana. Podczas testu podano wysokiej jakości kawę brazylijską. Każdy z badanych pił kawę raz w ceramicznym kubku o szorstkich brzegach i szorstkich ściankach wewnętrznych i zewnętrznych, a za drugim razem ten sam napój ale z gładkiej porcelanowej filiżanki.

Wynik był zaskakujący, pito ten sam napój ale badani podali, że w filiżance o gładkiej strukturze podano im napój słodszy, niż w chropowatym naczyniu z którego pili napój o gorzkawym posmaku.

Wynik badania świadczy o tym, że naczynie może wpłynąć na smak kawy, szczególnie dotyczy to kaw o najwyższej jakości. Kawa może śmiało konkurować z winem, gdyż w winie znajduje się 600-1000 związków nadających mu smak , a kawa posiada ich ponad 1200!

Mumia sprzed 3000 lat przemówiła

Czy możliwe jest usłyszeć mumię, która ma 3000 lat, czy możliwe jest sprawić żeby jej głos zabrzmiał? Wydaje się niemożliwe, a jednak przy obecnej technice naukowcom udało się odtworzyć głos zmarłego kapłana.

Mumia poddana badaniom to kapłan o imieniu Nesyamun. Żył w latach 1099-1069 p.n.e. podczas panowania faraona Ramzesa XI. Do obowiązków kapłana należało mówienie i śpiewanie, pracował w świątyni w Karnaku w Tebach (współczesny Luksor).

Mumia była świetnie zachowana, a nawet odkryto, że kapłan zmarł w wyniku reakcji alergicznej na ukąszenia owada. W sarkofagu było wyryte ostatnie życzenie zmarłego. Brzmiało ono, aby jego głos był słyszany w zaświatach.

Naukowcy z Wielkiej Brytanii podjęli wyzwanie. Dzięki drukarce 3D udało się stworzyć model anatomiczny krtani kapłana Nesyamuna. Następnie naukowcy podjęli się wytworzyć syntezowy dźwięk który jest podobny do tonu głosu zmarłego kapłana.

Dla BBS News profesor archeologii na University of York, Joann Fletcher, powiedziała: „mieliśmy wyjątkową okazję usłyszeć głos osoby, która już dawno nie żyła.” Naukowcy chcą dalej kontynuować badania i stworzyć wypowiedź kapłana w świątyni w Karnaku.

Mumię Nesyamuna można oglądać w Muzeum Miasta Leeds, w północnej Anglii.

W Fukushimie wraca życie

W 2011 roku w wyniku tsunami spowodowanego trzęsieniem ziemi doszło w Fukushimie do awarii siódmego stopnia w siedmio stopniowej skali INES dotyczącej reaktorów jądrowych. Doszło do takiego skażenia, że nawet oceniano je na dużo większe niż w Czarnobylu.

A jednak tutaj tak jak to było również w przypadku Czarnobyla pomimo całkowitego wyprowadzenia ludzi i ogromnego skażenia terenu zaczęło wracać dzikie życie.

Zespól naukowców z University of Georgia przeanalizował ponad 267 tysięcy zdjęć wykonanych w Fukushimie. Zauważyli na nich ponad 20 gatunków zwierząt, w tym dziki, lisy, zające, szopy, bażanty.

Zdjęcia zostały zrobione przez 106 aparatów pułapkowych umieszczonych przez rząd japoński w 2011 roku w trzech strefach. Pierwsza strefa to ta o największym skażeniu, z której całkowicie ewakuowano ludzi. Druga o ograniczonej obecności ludzi, w której był średni poziom skażenia. W trzeciej ludzie nie byli ewakuowani. Strefy po wybuchu reaktora ustalił rząd japoński.

Badaniom objęto strefy ewakuacji ludzi. Dzięki zdjęciom jest dowód na to, że życie wraca do tych stref. W strefie pierwszej wykonano aż 26 tysięcy zdjęć, które potwierdzają życie w tej strefie zwierząt. Naukowcy jednak potwierdzają, że nie badali stanu zdrowia zwierząt. W wyniku analizy zdjęć ich zachowania nie odbiegają od zachowań dla normalnej populacji tego gatunku.

Wśród dzikich zwierząt, które odradzają się w Fukushimie to między innymi lis, łasica, jeleń wschodni i niedźwiedź himalajski.

opr. Magdalena Szymerowska

Trzęsienie ziemi w Turcji

W piątek 24 stycznia br. w Turcji zatrzęsła się ziemia i było to trzęsienie o magnitudzie 6,7.

Bilans ofiar rośnie, w niedzielę wieczorem odnotowano 31 ofiar śmiertelnych i około 1607 osób odniosło obrażenia.

W prowincji Elzaig i Malatya zawaliło się 80 budynków a 645 domów zostało poważnie uszkodzonych.

Epicentrum wstrząsów było w pobliżu miasta Sivrice w prowincji Elzaig, ale wtórne wstrząsy byy odczuwalne również w Syrii, Gruzji, Armenii i Libanie, w sumie było ponad 270 wstrząsów wtórnych, a 12 miało magnitudę 4.

Ostatnie duże trzęsienie ziemi w Turcji, było 2011 roku, było o magnitudzie 7,1 i zginęło wówczas 600 osób.

Iran chce negocjować z USA

Gdy na polecenie USA zabito dowódcę sił Al-Kuds Kasema Sulejmaniego Irak zagroził zbrojnym odwetem. Jednak szef MSZ Iranu Mohammad Dżawad Zarif oświadczył, że Teheran jest otwarty na negocjacje z Waszyngtonem.

W sobotę tj. 25 stycznia br. Zarif w rozmowie z tygodnikiem „Der Spigel” wyraził chęć Iranu to rozmów. Oświadczenie szefa Irańskiego MSZ, cyt: „Dla nas nie ma znaczenia, kto urzęduje w Białym Domu, liczy się to, jak się te osoby zachowują (...). Administracja (prezydenta Donalda) Trumpa może poprawić swoje poprzednie błędy, znieść sankcje i powrócić do stołu rokowań. My siedzimy przy tym stole. To oni od niego odeszli”.

Również dodał, że działania USA wyrządziły ogromną krzywdę narodowi Irańskiemu i kiedyś będą musiały za to zapłacić, gdy nadejdzie odpowiedni dzień.

Dodano również, że Iran nadal respektuje porozumienie nuklearne z 2015 roku ale czy będzie redukował wzbogacanie uranu zależy od zagwarantowanych porozumień, gdyż drzwi „dla dyplomacji są otwarte”.

Ulewne deszcze w Brazylii

W niedzielę 26 stycznia br. Brazylię zalała fala ulewnych deszczów. Takich nie był od 110 lat.

W Belo Horizonte, stolicy stanu Minas Gerais służby meteorologiczne podały, że wciągu 24 godzin spadło aż 171 mm deszczu.

Lokalne władze poinformowały o 46 ofiarach. Gubernator Minas Gerais Gustavo Zema ogłosił stan wyjątkowy w aż 47 miastach oraz ogłosił trzy dniową żałobę aby uczcić pamięć ofiar zabitych w wyniku powodzi i osuwisk.

Meteorolodzy przewidują jeszcze większe opady, dlatego władze są w stanie najwyższej gotowości.

Kolej chce pomóc w walce z koronawirusem

Holenderska kompania logistyczna Nunner Logistics we współpracy z chińskim operatorem kolejowym Tiedada oferują usługę bezpłatnego transportu materiałów pomocowych dla wszelkich organizacji i instytucji, które chcą pomóc w walce z koronawirusem rozprzestrzeniającym się w Chinach. Sercem epidemii jest miasto Wuhan, które jest jednocześnie stacją docelową dla pociągów kontenerowych uruchamianych przez tę firmę raz w tygodniu.

Co ciekawe, transport oferowany jest z polskiego hubu holenderskiej spółki. Nunner posiada swoje centrum magazynowe w Grodzisku Mazowieckim, gdzie można ładować i rozładowywać kontenery.

oprac. red.

LIKWIDACJA POLSKI – WARIANT „B”- Artur Adamski

Styczniowa rocznica wkroczenia Armii Czerwonej do gruzowej pustyni, w jaką przeobrażono Warszawę, powinna nam przypominać przede wszystkim o podjętych przez Niemców działaniach w sytuacji, gdy wymazujący Polskę z historii Generalplan Ost przynajmniej wówczas tracił możliwość realizacji.

Niemieckie myślenie w sierpniu 1944

W lipcu 1944 Trzecia Rzesza chyliła się ku nieuchronnej klęsce. Sowieci przekroczyli Bug, alianci zachodni bliscy byli zajęcia Paryża, a zamach na Hitlera ujawniał zwątpienie, szerzące się w łonie niemieckiego dowództwa. Wybuch Powstania Warszawskiego mógł być interpretowany jako kolejny przejaw zbliżającego się końca, ale dla Trzeciej Rzeszy mógł być też szansą. Niemcy robiły przecież bardzo dużo, by poróżnić Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone z Sowietami. Staufenbergowi, jego towarzyszom i wielu innym marzyło się zawarcie pokoju z Zachodem, w celu zatrzymania nieubłaganie rosnącej, groźnej potęgi ZSRS.

Wybuch powstania w polskiej stolicy był szansą na wbicie klina, rozsadzającego koalicję antyhitlerowską, a przynajmniej na zasianie w niej sporego zamieszania. Wyobraźmy sobie, że Niemcy po kilkunastu dniach walk wycofują się z polskiej stolicy, oddając w ręce powstańców także przedmieścia wraz z lotniskami. Paręset kilometrów kwadratowych wyzwolonego terytorium Polski, wraz z jej stolicą, stałoby się realnym przyczółkiem niepodległej polskiej państwowości. Dla Niemców ciągle możliwej do pokonania, ale do której przerzucone mogłyby być władze Rządu Rzeczpospolitej na Uchodźstwie w pełnym składzie, wraz z Prezydentem RP i Radą Narodową (wojenną namiastką polskiego Sejmu). Logistycznie – byłoby to trudne i ryzykowne, ale wykonalne. Nawet pomimo wysoce prawdopodobnej brytyjskiej dezaprobaty. Czy zmieniłoby to los Polski? Zasadniczo – zapewne nie. Jednak dla Niemców, którzy daliby się powstańcom wyprzeć poza przedmieścia stolicy byłaby to szansa na zasianie sporego zamętu w łonie antyhitlerowskiej koalicji. Pozycja „londyńskiego” Rządu RP była w tym czasie słaba, ale jednak był on wtedy ciągle uznawany przez aliantów zachodnich i większość państw świata. Co takim manewrem Niemcy mogli „ugrać” dla siebie? Uniknięcia klęski – raczej nie. Mogli jednak liczyć na zatrzymanie tym sposobem frontu wschodniego na czas dłuższy, niż do stycznia 1945. Mogli zyskać opóźnienie swej klęski i doprowadzenie do sytuacji, w której żadna lub prawie żadna część ziem niemieckich nie znalazłaby się pod okupacją sowiecką. Mogli pogorszyć relacje między Moskwą a Waszyngtonem i Londynem, a wszelkie spory między zwycięzcami mogły grać raczej tylko na korzyść pokonanych. Jak jednak wiemy – z tej szansy Niemcy nie skorzystały. Ważniejsze było dla nich to, by najważniejsze centrum polskości utopić we krwi, by naszą stolicę zetrzeć z powierzchni ziemi.

Resztkom narodu odebrać dziedzictwo

„Odbierzcie Polakom narodowe pamiątki a ich trzecie pokolenie przestanie istnieć” – ta dewiza germanizatorów i rusyfikatorów z lat naszej niewoli doczekała się najpełniejszej realizacji w latach II wojny światowej. Jednym z pierwszych jej przejawów był masowy rabunek, który zaczął się we wrześniu 1939. Już dzień po zajęciu Warszawy niemieccy oficerowie pukali do drzwi wielu mieszkań. Przychodzili wyposażeni w wiedzę o znajdujących się w nich dziełach sztuki. Zdejmowali ze ścian obrazy, wyjmowali z szaf inkunabuły, kolekcje monet, swym ordynansom rozkazywali wynoszenie rzeźb i najcenniejszych mebli. W tym samym czasie żołdackiej tłuszczy pozwolono na rozszabrowanie w części wypalonego Zamku Królewskiego. Z gobelinu, rozpiętego za tronem, szeregowi żołnierze wermachtu zrywali złote orły i wraz z innymi łupami upychali je w plecakach. Świetnie pamiętam początek lat siedemdziesiątych, kiedy mój ojciec najpierw z ogromną radością przyjął decyzję o odbudowie Zamku a potem dosłownie chłonął każdą informację o najmniejszych nawet postępach tejże odbudowy. Któregoś dnia przeczytał w gazecie, że jeden z tych niemieckich żołnierzy, którzy 35 lat wcześniej rozkradali Zamek, pod wpływem informacji o jego żmudnej odbudowie przysłał do Warszawy część swojego łupu – jednego z orłów z sali tronowej. Pamiętam okrzyk mojego bezbrzeżnie zdumionego ojca: „Niemiec coś oddał! Szkop a sumienie go ruszyło! Świat na głowie staje!”

Wydarzenie to wzbudziło jednak nadzieję, że pojawią się kolejni, którzy zechcą coś oddać. W 1939 w Zamku grasowały setki niemieckich żołnierzy-złodziei, a przedmiotów, jakie wynieśli, musiały być tysiące. W mojej rodzinie, od wieków zamieszkującej na polsko-niemieckim pograniczu, zachodnich sąsiadów znającej więc doskonale, Niemcy zawsze uchodzili za uosobienie oprawców oraz za najbardziej złodziejski naród świata. Kiedy więc mój ojciec trwał w nadziei, że „może jeszcze jakiś Niemiec coś odda” inni członkowie rodziny powtarzali: „Niemożliwe, to musiał być jakiś wyjątek potwierdzający regułę, może stojący nad grobem staruszek, nie mający żadnych spadkobierców.” I niestety – to oni mieli rację. Innych niemieckich złodziei sumienie nie ruszyło (mówiąc Lecem – sumienia w dobrym stanie, bo nieużywane), żaden nic więcej nie odesłał. Odzyskanie tronowego orła było jednak cenne, gdyż na jego wzór pieczołowicie zrekonstruowano kilkanaście brakujących.

O niemieckim złodziejstwie można by mówić bez końca, bo to temat niesłychanie rozległy. Niemająca ponoć równych rozmiarem i jakością kolekcja futer (oczywiście zrabowanych w Polsce) żony Hansa Franka czy miliony wypchanych łupami paczek, wysłane do rodzin przez niemieckie żołdactwo na tle trwającej przez wszystkie lata okupacji wielkiej orgii rabunku skarbów naszej kultury – to tylko przysłowiowy „pryszcz”. Niewspółmiernie bardziej bolesne są właśnie rabunki narodowych pamiątek, na przykład pół miliona dzieł sztuki – ukradzionych przez Niemców i nigdy nie zwróconych. Swoje wielkie kolekcje malarstwa Niemcy w zdecydowanej większości uchronili i przed wojenną pożogą i rabunkami. Można je podziwiać w imponujących rozmiarami galeriach i muzeach. A ogromna część polskiego dziedzictwa została skutecznie zrabowana lub z premedytacją zniszczona.

Najważniejszy cel przegrywanej wojny – trwała dekapitacja narodu polskiego

Heinrich Himmler, jeden z liderów Trzeciej Rzeszy, w ogóle nie rozpatrywał wybuchu Powstania Warszawskiego jako wojennej szansy dla Niemiec. Ważniejsze było dla niego unicestwienie Polski, a przynajmniej – zadanie jej jak najtrwalszych szkód. W liście do Hitlera pisał wtedy: „Głowa, inteligencja, stolica tego narodu, od siedmiuset lat stojącego nam na drodze, zostanie teraz starta. Po tym, co teraz zrobimy, ten stojący nam na drodze naród nie będzie już problemem dla naszych dzieci i wszystkich, którzy przyjdą po nas”. W ostatnim roku wojny do jej prowadzenia Niemcom brakowało wszystkiego – bywało, że sprzęt porzucano z powodu braku paliwa, z braku metalu bomby lotnicze robiono z cementu przeplecionego drutami, na pociski przetapiano blaszane dachy i pomniki. Nie zabrakło im jednak środków na wysadzenie w powietrze wszystkich skarbów warszawskiej architektury. W celu wymazania świadectw polskiej historii podpalano wszystkie archiwa. Jednym z takich miejsc wielkiej polskiej tragedii stała się siedziba Biblioteki Narodowej w Pałacu Krasińskich. Krótko przed wybuchem wojny trafiły do niej, odzyskane od Sowietów na mocy traktatu ryskiego, staropolskie zbiory rękopisów. Były wśród nich tysiące informujących o różnych wydarzeniach dokumentów, pamiętników, nieznanych dzieł literackich. Nie tylko nie zdążono ich zinwentaryzować czy skopiować, ale nawet przeczytać. Nie wiemy więc, co zawierały te rękopisy. Jest jednak niemal pewne, że za ich sprawą wiedza o naszych dziejach mogła stać się pełniejsza, bardziej wielowątkowa a historia naszej literatury – bogatsza. Tego się już jednak nie dowiemy, gdyż Niemcy z wielką pieczołowitością oblali te zbiory hektolitrami benzyny tak, by z płomieni nie ocalało nic, poza popiołem.

W ostatnich dniach walk na Starym Mieście, w okolicach Uniwersytetu Stefan Kisielewski stał się świadkiem znamiennego w tym czasie wydarzenia. Niemiecki oficer, według oceny Kisielewskiego kwintesencja inteligenta, w cywilu prawdopodobnie pracownik jakiejś niemieckiej uczelni, dowodził grupą żołnierzy, skupionych na najważniejszej w naszym kraju bibliotece unikatowych zabytków polskiego prawa. Jedyne istniejące egzemplarze rękopiśmiennych kodeksów sprzed kilkuset lat, były dokładnie oblewane benzyną. Niemcy mogli te zbiory dorzucić do któregoś z dziesiątek pociągów, którymi ze sponiewieranej Warszawy wywozili do siebie setki fortepianów czy cennych mebli. Wiedzieli jednak, że przegrywają wojnę, że wkrótce ich kraj może być okupowany. I wówczas unikatowe skarby polskiego piśmiennictwa, których właścicieli ustalić łatwiej, niż właścicieli sreber czy obrazów, mogłyby do Polski wrócić. A wtedy Polacy nadal cieszyliby się dowodami swojego wielowiekowego dziedzictwa. Zamysł siejących spustoszenie był więc prosty: wojnę przegramy, ale część polskiego dorobku bezpowrotnie zniszczymy, fundamenty polskości - trwale podkopiemy. W czasie rozszarpywania Rzeczpospolitej przez zaborców Prusacy przetopili insygnia koronacyjne władców Polski – królewskie korony, berła, jabłka królewskie, ostrogi. Każdy dowód polskiej wielkości – miał przestać istnieć. To samo robiono w czasie wojny a wielu na różne sposoby, ten sam proceder realizuje także dzisiaj.

Trudno wskazać inny naród, któremu by odebrano równie wielką część dziejowych świadectw i pamiątek przeszłości. Robiono to nie tylko w celu przywłaszczenia cudzej własności, ale także z zamiarem odebrania Polakom wiedzy o ich własnym dziedzictwie. Było to dążenie do mentalnego zdegradowania naszej zbiorowości.

**W realiach niepowetowanych zniszczeń o tak bezprecedensowej skali trzeba się troszczyć o narodową tożsamość i historyczną wiedzę bardziej niż robią to kraje, w których kolejne pokolenia wzrastają w otoczeniu bezliku skarbów swojego dziedzictwa.**

Kondycja kultury- Jerzy Pawlas

W kraju, w którym połowa obywateli nie czyta książek, a pozostali dają się manipulować komercyjnym mediom antyrządowym lub „eksperymentom artystycznym”, bez żadnych przeszkód szerzy się ideologia genderyzmu-elgiebetyzmu, ekologizm i bezrefleksyjny multikulturalizm.

Laudacja Pera Waesterberga z Akademii Szwedzkiej na cześć Olgi Tokarczuk przypisuje Polsce „historię kolonializmu i antysemityzmu”. Laureatka „nie ucieka od niewygodnej prawdy nawet pod groźbą śmierci”. Z jakich żródeł laudator wydestylował te brednie, z czyich podszeptów – można domniemywać.

Wrocławscy studenci aktorstwa zbezcześcili „Chłopów” Władysława Reymonta. tak skutecznie, że wstydzili się zaprosić na spektakl swoje rodziny, żeby zrobić z powieści noblisty obsceniczno-bluźnierczy kabaret jako popis nowoczesnego aktorstwa, trzeba być zakompleksiałym burakiem.

Państwowy mecenat nigdy nie był tak wspaniałomyślny jak obecnie. Dotuje zarówno prywatny teatr Krystyny Jandy, jak i polonofobiczne wydawnictwo „Znak”. Niemniej rząd jest nieustannie poniewierany przez tzw. ludzi kultury. Narzekają na ograniczenia tematyczne i finansowe, choć nikt im nie broni działać prywatnie na wolnym rynku.

Odbiorcy czyli polskość to normalność

Ponad 12 proc polskich studentów przyznaje się do uzależnienia od pornografii. Wśród dzieci jeszcze gorzej. Zanim skończyły dwanaście lat zapoznały się z pornografią. (52 proc. chłopców, 33 proc. dziewcząt). Raport Stowarzyszenia Twoja Sprawa przekonuje, że nałogowe oglądanie wulgarnych przekazów seksualnych można porównać z głębokim uzależnieniem od narkotyków, hazardu czy alkoholu. Tymczasem nie od dziś wiadomo, że deprawacja, demoralizacja to początek skutecznego prania mózgów.

Brukselskie totalniactwo homo-elgiebetyckie nie daje za wygraną, a jego szkodliwość potęgują antychrześcijańskie bluźnierstwa i profanacje. Intensywność tych działań (media, manifestacje uliczne, partyzantka ideologiczna w szkołach) sprawia, że stają się środowiskiem naturalnym młodego pokolenia. I to ono ma być odbiorcą twórczości artystycznej – odmóżdżone, pozbawione tożsamości, podatne na dezinformacje, manipulacje, uwiedzenie, sugestie.

Strajk nauczycieli pokazał, że szkoła nie potrafi wykształcić świadomego odbiorcy kultury, nie mówiąc o świadomym obywatelu. Fatalnie napisane podręczniki do historii nie przekazują dziedzictwa kulturowego, Nauczyciele, nie dość znający prawdę historyczną, nie sytuują młodych w ciągu pokoleń, tworzących cywilizację łacińską. Nie inaczej jest na uczelniach wyższych, gdzie dominuje lewactwo i agresywne środowiska LGBT, gdzie rektorzy linczują profesorów (Aleksander Nalaskowski w Toruniu, Ewa Budzyńska w Katowicach) za parę słów prawdy, a studenci cenzurują wykłady lub uniemożliwiają organizowanie konferencji naukowych.

Tymczasem rynek kulturalny został zdominowany przez pogrobowców komuny, przebierańców lewicowo-liberalnych. W ich rękach media, nagrody artystyczne (paszporty „Polityki”, nagroda Nike), promocja i eksport (tłumaczenia na obce języki, gwarantujące zagraniczne nagrody literackie). Uczynienie go bardziej pluralistycznym zajmie wiele czasu. Jak na razie przykładem polskiego inteligenta jest poseł Cezary Tomczyk, który nie zna hymnu państwowego.

Poza kinem inne instytucje kultury filharmonie, muzea, teatry, galerie nie cieszą się zbytnią popularnością. Bez rzeszy świadomych odbiorców kultury, kibiców sztuki współczesnej trudno mówić o oddolnej aktywności obywatelskiej. Jedną z jej form jest także wolontariat. Bez niego nie ma dobrze funkcjonującej demokracji – mówił minister Piotr Gliński podczas IV Ogólnopolskiej Konferencji „Wolontariat w kulturze”. Dzięki niemu placówki kultury zwielokrotniają swe oddziaływanie. To ich przyszłość obok odpowiedniego finansowania.

Wojna nie tylko ekranowa

W III RP skażenie relatywizmem moralnym stało się zjawiskiem tak powszechnym, że nie mogło nie objąć produkcji artystycznej. Kolejne wersje „Psów” są najlepszym przykładem. Milicjanci i esbecy to prawdziwi bohaterowie, godni uprzywilejowanych emerytur. Uznany rzemiecha Władysław Pasikowski „przysposabia” także postać Ryszarda Kuklińskiego czy ofiar stalinizmu, „paląc” je, topiąc w atrakcyjnej formule warsztatowej.

Lewicowo-liberalni twórcy latami żerowali na hojnych funduszach Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, forsując polonofobię, ojkofobię, potoczny antyklerykalizm i nieoceniony antysemityzm. To gwarantowało festiwalowe nagrody, klakę polskojęzycznych mediów, przychylność dystrybutorów. To usprawiedliwiało odwalenie „Smoleńska” Antoniego Krauzego na korzyść jakiegoś „Pokłosia”, „Idy” czy „Ciemności”.

Dlaczego nie powstawały obrazy eksponujące polskie zwycięstwa, choćby hołd ruski, martyrologię-ludobójstwo katyńskie, bohaterskich kapłanów, broniących polskości na Kresach czy świętych obozowych, takich jak o. Maksymilian Kolbe, położna Stanisława Leszczyńska, która odebrała w Auschwitz ponad 3 tys. porodów, nie mówiąc o naukowcach, choćby Jan Czochralski – elektronik i budowniczych, na przykład Rudolf Modrzejewski.

A przecież historia naszego kraju to fascynujące scenariusze. Obok królów, Bolesław Chrobry, Henryk Pobożny, Kazimierz Wielki, Jadwiga, są sławni rycerze – Bolesław Wysoki, Zawisza Czarny, hetmani – Stanisław Żółkiewski, Jan Karol Chodkiewicz. Dlaczego oni nie zainteresowali filmowców. Pytań wiele, wszystkie retoryczne. Tak jak repolonizacji gospodarki, potrzebujemy repolonizacji kinematografii. Przydałaby się też ustawa demonopolizacyjna, by pluralizm zastępował dyktat lewicowo-liberalnej poprawności politycznej.

Tymczasem trzeba walczyć o wolność słowa i badań naukowych na uczelniach. Rektorzy polscy są im przeciwni, co szokuje, choć nie dziwi, zważywszy na żywotność peerelowskiej zarazy. Bo właśnie Maria Anna Potocka, dyrektor krakowskiego muzeum i galerii sztuki współczesnej, oświadczyła, że rezygnuje z patronatu medialnego Radia Kraków, gdyż w audycjach bierze udział abp Marek Jędraszewski. Do czego dochodzi? Publiczna placówka kulturalna cenzuruje publiczne media.

Oprócz filmów służących antypolskiej lewicowo-liberalnej propagandzie, powstają inne, zyskujące szeroką publiczność. Filmową biografię św. Faustyny „Miłość i miłosierdzie” pokazywano w 800 kinach (drugie miejsce w amerykańskim box oflisie). „Legiony” też mogły zyskać więcej widzów, gdyby nie „partyzantka” środowisk lewicowo-liberalnych. Czas pokaże, czy przeniesione na ekrany pasjonujące koleje losu Witolda Pileckiego „Ochotnik” nie doświadczą takich utrudnień.

Organizować wyobraźnię

Jeżeli amerykańska polityk, reprezentująca izbę niższą tamtejszego sejmu, uważa, że w Auschwitz ginęli więźniowie żydowscy, homoseksualni, elgiebetyccy czy romscy (nie wymienia Polaków, dla których Niemcy założyli ten obóz), to środowisko wiadomej gazety może oskarżać Wojciecha Korkucia, plakacistę, przypominającego niemieckie zbrodnie wojenne, o antyniemieckość, ksenofobię, i – oczywiście – nienawiść. Prawda stała się pojęciem manipulacji politycznej.

Odkąd nie ma dobra i zła, odkąd każdy ma swoją prawdę, ostatecznie wszystko jest sztuką, czego dotknie ręka artysty – sztuka stała się narzędziem propagandy neomarksistów-kulturtraegerów. I co najważniejsze – hojnie finansowanym z państwowej kasy. Stąd niezwykła żywotność szydzenia z tradycyjnych wartości, przedrzeźniania dziedzictwa kulturowego, chrystianofobii pod różnymi postaciami (w końcu wyobraźnia twórcza pracuje). Ale co tam skandale, skoro sztuka powinna skandalizować, obrażać, bluźnić, kłamać.

Charakterystyczne, że przedmiotem tych poczynań jest przeważnie bezczeszczenie katolicyzmu. W przypadku innych religii nie jest to opłacalne, a najczęściej ryzykowne, zresztą nie kariero-pędne.

Barbarzyńskie akty pod krzyżem na Krakowskim Przedmieściu w lipcu i sierpniu 2010 roku znalazły swą artystyczną interpretację w obrazie „Ukrzyżowanie” Zbigniewa Macieja Dowgiałły. Jego artystyczna wizja katastrofy samolotu rządowego „Smoleńsk” nie mogła być prezentowana ani w Muzeum Narodowym czy Zachęcie, ani w Centrum Sztuki Współczesnej czy Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Mógł ją wystawić w kościele kamedułów na warszawskich Bielanach.

Dominacja lewactwa i odmienności seksualnych nad dążeniem do prawdy czyli wolności twórczej. To patologia tym dotkliwsza, że w kraju nie ukształtowały się warunki do swobodnej działalności twórczej, nie mówiąc o sytuacji bytowej artystów (rynek sztuki właściwie nie istnieje).

Artyści-celebryci, pieszczoszki krytyków i salonów dobrze sobie żyją z fałszowania historii zwanego dekonstrukcją. Oskarżanie polskiego społeczeństwa o wszystko, co najgorsze, o rasizm, antysemityzm, homofobię, współsprawstwo w holokauście przynosiło sławę. Dlatego wydarzeniem stała się wystawa „Historiofilia – sztuka i polska pamięć”, rozbijająca lewacki kanon sztuki współczesnej. Bo historia nie jest tylko obciążeniem – trzeba ją rozliczać i wyciągać wnioski na przyszłość.

Okazało się, że rolę artysty można pojmować inaczej, co widać w pracach Jacka Adamasa, Jacka Lilpopa, Jerzego Kaliny, Zbigniewa Werpechowskiego), niż lewacko-historiofobicznie. Narodowy artysta organizuje wyobraźnię – pisał Cyprian kamil Norwid. Wreszcie zaistniała szansa. Centrum Sztuki Współczesnej zarządza Piotr Bernatowicz. Może powstrzyma nad reprezentację lewactwa.

Mecenat

Podczas gdy polska polityka historyczna poniosła dotkliwą porażkę w postaci literackiego Nobla, to polityka kulturalna może przynajmniej liczyć na większe fundusze. W 2020 roku po raz pierwszy przyznano na nią w budżecie ponad 5 mld zł. I chociaż wydatki na kulturę wzrosły o 54 proc. to nie zmienia to postawy tzw. ludzi kultury, którzy narzekają na „autorytaryzm wyborczy”, na „dyktaturę demokracji”. Ciekawe, że nie postulują innych form finansowania kultury, na przykład odpisy podatkowe dla osób fizycznych i prawnych.

Tymczasem koncern Orlen mecenasuje warszawskiemu Teatrowi Wielkiemu, finansuje wydarzenia artystyczne i edukacyjne. Samorządy też wspierają teatry, ale otwarte i postępowe, rozprawiające się z „Polską parafialną”. Nieoceniony stołeczny Teatr Powszechny („Klątwę” wciąż analizuje prokuratura przerabia „Matkę Joannę od Aniołów” Jarosława Iwaszkiewicza na „brawurowy feministyczny kabaret” zatytułowany „Diabły”. Poznański Teatr Polski „pochylił się” nad losem kobiet (fizjologia i męska przemoc).

**Samorządowe teatry mogą liczyć na odbiorców, gdy jedna trzecia absolwentów uczelni nie czyta książek.**

Kulisy łódzkiej reprywatyzacji- Agnieszka Wojciechowska van Heukelom

W ostatnich dniach trafił do sądu akt oskarżenia przeciwko członkom gangu wyłudzającego łódzkie kamienice. Lepiej późno niż wcale. To ukoronowanie żmudnego dochodzenia prowadzonego od lat przez funkcjonariuszy Centralnego Biura Śledczego.

Ówczesny Komendant Główny Policji Marek Działoszyński zdecydował się na połączenie sił CBŚ i policji. Z korzyścią dla tej sprawy. Szefostwo policji zmieniało się sześć razy w ciągu siedmiu lat, więc komendant musiał wiedzieć, że nie będzie łatwo.

Do tej pory tak się składało, że liczne zgłoszenia kradzieży kamienic w Łodzi były ignorowane. Łódzka prokuratura albo odmawiała wszczęcia śledztwa, albo je szybko umarzała. Tym razem CBŚ śledztwo prowadziło w tajemnicy. Funkcjonariusze zebrali wystarczające dowody, aby ująć członków gangu i postawić im zarzuty.

Prokuratura nie miała innego wyjścia, jak tylko kontynuować śledztwo. Kiedy sprawa wyszła na światło dzienne, okazało się, że kradzieże łódzkich kamienic to dobrze zorganizowany proceder. Działają gangi, a łupem złodziei padło ponad trzysta nieruchomości!

Czyje kamienice

Prezydent Łodzi Hanna Zdanowska jest największym kamienicznikiem w Polsce. Choć rządzi miastem od dziesięciu lat, nie potrafi uporządkować spraw nieruchomości.

Nie wie nawet, jakie i czyje kamienice są w mieście. Interesuje ją zaledwie 15 proc. budynków (stanowiących własność bądź współwłasność miasta oraz bieżących pod zarządem miasta. w czasie, gdy poszukiwani są spadkobiercy). To przecież kropla w morzu potrzeb i nikła część wszystkich budynków.

Zdarzało się, że mieszkańcy zgłaszali władzom lokalnym czy prokuraturze, że kamienica pozostaje od lat w rękach oszustów, ale ani włodarzy ani organów ścigania to nie obchodziło. Gdy wybuchła afera reprywatyzacyjna w Warszawie, miałam nadzieję, że komisja weryfikacyjna rozszerzy działalność na inne miasta. To pozwoliłoby ustalić rozmiary tego zjawiska i zając się przestępcami grasującymi jednocześnie w różnych miastach. Ale tak się nie stało. Liczni poszkodowani przez dziką reprywatyzację łodzianie z moją pomocą złożyli w Prokuraturze Krajowej doniesienie, ale gdy sprawa wróciła do Łodzi, niewiele się dzieje.

Wprawdzie podejrzani dostają wezwania na przesłuchania, ale prokuratura zajmuje się tą sprawą raczej niechętnie.

Raj dla oszustów

Łódź jest prawdziwym rajem dla oszustów. Właściciele wielu domów, uciekając z miasta czterech kultur w czasie wojny. Teraz do Urzędu Miasta Łodzi zgłaszają się rzekomi pełnomocnicy spadkobierców ale nikt nie sprawdza ani nie weryfikuje ich pełnomocnictw.

Zamiast zinwentaryzować zasoby całego miasta, prezydent Łodzi wydaje pieniądze na pelerynki na pomniki, różowe kałuże czy malowidła na odpadających tynkach. A przecież powinna zasiedlić budynki i pozwolić mieszkańcom się uwłaszczać. Nieruchomości. Byłyby dzięki temu w lepszym stanie. Wiadomo, że ludzie dbają o swoją własność.

Pasywność łódzkiej prokuratury też jest powszechnie znana. Niemal każda sprawa wpada tu jak w czarną dziurę. Tak właśnie się dzieje w wypadku fałszywych spadkobierców. Gdy tylko trafi się bardziej dociekliwy prokurator, natychmiast odbiera mu się śledztwo i przekazuje innemu. Jakby komuś zależało, aby niczego nie wyjaśniać.

Propaganda nie istniejącego sukcesu

Wiele szkody w sprawie kamienic wyrządziła propaganda sukcesu, którego nie było.

Prezydent Łodzi przerażona tym, co się działo w aferze warszawskiej reprywatyzacji wokół Hanny Gronkiewicz Waltz natychmiast oznajmiła przed kamerami, że łódzki magistrat świetnie sobie radzi w walce z oszustami i fałszywymi spadkobiercami, więc inni powinni brać z niego przykład. Udało jej się zmylić opinię publiczną i odwrócić uwagę od tego, co istotne. Dlatego Prokuratura Krajowa nie przejmuje się dziką reprywatyzacją w Łodzi, ale zdaje się na lokalną prokuraturę.

Wszystkie drogi prowadzą do Łodzi

Tymczasem w Łodzi jak w soczewce widać mechanizmy patologii związanej z reprywatyzacją. Za czasów reżimu komunistycznego, gdy wszystko było państwowe, działało przedziwne Zrzeszenie Właścicieli i Zarządców Domów i Nieruchomości, dysponujące ogromną ilością budynków. Przez lata nikt oprócz mnie nie zainteresował się tym dziwnym tworem Tymczasem przejęte przez nich budynki przechodziły w kolejne ręce.

Na czele gangu fałszywych spadkobierców stał znany polityk, były poseł Samoobrony, członek zarządu województwa łódzkiego, mąż radnej miejskiej, Zbigniew Ł.

Do Łodzi przyjeżdżali czyściciele kamienic z całej Polski, przejmowali zapomniane przez miasto budynki i dręczyli ludzi. Wielu z nich prowadziło interesy w różnych miastach jednocześnie: w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, ale to właśnie w Łodzi krzyżowały się ich drogi.

Na dużą skalę działał tu Andrzej P. nieuczciwy kamienicznik z Poznania, prezes Stowarzyszenia Obrony Praw Człowieka IUSTITIA. Nie przypadkiem nazwał je tak samo jak stowarzyszenie sędziowskie. Kiedy pojawia się w łódzkich sądach czy w prokuraturze, nikomu nie przychodzi do głowy, że był karany. W mieście, w którym sądy uznawały bez analizy testamenty ustne i oddawały oszustom liczne nieruchomości. nikogo to już nie dziwi. Nie przypadkiem do łódzkiego sądu apelacyjnego trafiła na jakiś czas poznańska sędzia Lucyna Słupianek-Zborowska skazana prawomocnie za łapownictwo. Jej małżonek, radca prawny był członkiem gangu wyłudzającego kamienice. Dzięki pasywnej postawie specjalnej kasty nieuczciwa sędzia nie została dyscyplinarnie usunięta z zawodu tylko przeniesiona do Łodzi.

To tu robią interesy kolejni członkowie rodziny Konrada Deptuły – czyściciela kamienic z Targowej. Jego ojciec, mieszkaniec Częstochowy właśnie zamienia w piekło życie mieszkańców ul. Poznańskiej 29.

Brutalnymi metodami czyszczenia kamienic wsławił się też niejaki „Farmazon” (Franciszek J.) znany opinii publicznej jako wyjątkowo agresywny ochroniarz Komitetu Obrony Demokracji. Schorowanej mieszkance domu przy ulicy Szenwalda 4 wymontował zimą drzwi i okna, aby rzekomo wywietrzyć mieszkanie. Innych lokatorów nachodził w towarzystwie równie agresywnych jak on sam kolegów. Wprawdzie ostatnio i w jego sprawie trafił do sądu akt oskarżenia ale z powodu agresji i nawoływania do przemocy podczas demonstracji oraz nielegalnego posiadania broni. Ciekawe, kiedy łódzkie organa ścigania zajmą się jego brutalnymi akcjami względem lokatorów?

Chora rzeczywistość

W tym chorym układzie zamkniętym bezimiennymi bohaterami są mieszkańcy licznych kamienic, którzy latami walczą, próbując powstrzymać przestępcze działania i grabież zamieszkałych przez nich budynków. Lokatorzy kamienicy przy Wólczańskiej 243, dopiero po dwudziestu latach starań wykazali przed sądem, że dokumenty okazane przez rzekomych spadkobierców właścicieli zostały sfałszowane. Sześć lat temu prezydent Zdanowska obiecała im spotkanie. Mijają kolejne kadencje, ale oni wciąż czekają. Mieszkańcy Targowej 47 zmagali się z czyścicielami z moją pomocą. Urzędnicy, zamiast zwalczać ten proceder, pomogli wyczyścić kamienicę, dając mieszkania poza kolejnością. Lokatorzy kamienicy przy Traugutta 5, którą próbował wyłudzić gang dla w ramach akcji propagandowej usłyszeli podziękowania pani prezydent miasta za czujną postawę. Dostali nawet pamiątkowe pióra od magistratu.

Nawet ja usłyszałam podziękowania i dostałam pióro. To jedyne podziękowanie jakie kiedykolwiek dostałam od miasta za moją wieloletnią, społeczną działalność na rzecz mieszkańców. Prezydent Łodzi dzieli mieszkańców na lepszych (tych związanych z PO) i gorszych. Dyskredytuje też społeczników, którzy z racji prowadzonej działalności w obronie mieszkańców wchodzą czasem w konflikt z urzędem.

Uważa, że ja nie jestem społecznikiem. W takim razie, kto nim jest?

Co ciekawe w tym samym czasie lokalne media oraz mieszkańcy nominowały mnie do tytułu „Osobowość Roku 2019” w kategorii „Działalność społeczna i charytatywna”.

Najwyraźniej nie tylko w sprawie kamienic prezydent Łodzi jakoś nie wychodzi...

**Jeśli chcecie Państwo na mnie zagłosować możecie wysłać sms o treści UDS.3 na numer telefonu 72355 (koszt 2,46 z VAT). Głosowanie trwa do 12 lutego. Z góry dziękuję. To moja jedyna nagroda za bezinteresowną, wieloletnią pracę społeczną na rzecz innych.**

KACPER SŁOMKA

ŚWIT NIC NIE ZMIENI (część IV)

– Cześć mamo – przywitał się ze stojącą nad garnkiem niską kobietą o krótkich brązowych włosach i oczach tej samej barwy co jego własne.

– Cześć.Chyba dziś przyszedłeś trochę wcześniej, co?

– Zwyczajnie.

– No niech ci będzie. Siadaj, zaraz będzie ogórkowa.

Marek wyjął z lodówki pasztet, z drewnianego chlebaka paczkę krojonego chleba i stawiając to na białym stole z porysowanym blatem, usiadł na szarym krześlę. Matka postawiła przed nim ogórkową w metalowej misce, następnie sama wzięła sobie zupę i razem zaczęli jeść ją powoli, zagryzając chlebem z pasztetem. Milczeli chwilę, tylko przeżuwając, wreszcie matka spytała:

– Jak było w szkolę?

– Dobrze.

– No, ale coś więcej?

– Kartkówka z matmy. Myślę, że dobrze. Odda pewnie we wtorek.

– Trudna była?

– Nie. Dobra zupa.

– Dziękuję. Pewnie idziesz dzisiaj do kościoła, prawda?

– Jak co piątek.

Marek był ministrantem, o czym jeszcze nie zdążylismy powiedzieć.

– Dzisiaj droga krzyżowa, prawda?

– Tak.

– Może też pójdę, zobaczę.

– Jak chcesz. O której ojciec wróci?

– Nie wiem. Powinien zaraz być. A czemu pytasz?

– Tak sobie – odparł Marek, by nie pokazać swojego niepokoju. Przeczuwał że ojciec może znów przepijać rodzinne pieniądze. Ta często bywało na początku miesiąca. Szybko przerwał rozmowę, skupiwszy się na zupie.

– Jak zjesz, to pozmywaj naczynia – wróciła do rozmowy matka.

– Będę pamiętał. Ty wychodzisz do pracy o dziewiątej?

– Przecież. Jeszcze dzisiaj i jutro nocka.

– Ale w niedzielę wolne?

– Wolne. I całe szczęście. Nienawidzę nocek.

– Wiem.

– Co ty tam wiesz, dziecko?

– Wiem, nie pracuję. Będę pracował to się dowiem, słyszałem nie raz.

– Co ty taki nerwowy.

– Nie wiem. Taki dzień.

– Rozumiem. Nie chcesz mówić. Nie zmuszam. Zjadłeś?

– Zjadłem. Ale muszę jeszcze coś ci powiedzieć.

– Mów.

– Potrzebuję dwóch nowych zeszytów. Dasz mi pieniądze.

– Teraz mi mówisz?

– Nie było kiedy.

– Dobrze. Dam ci dziesięć złotych, tylko pamiętaj jutro kupić.

– Będę pamiętał.

– Ja też. Idę do siebie.

Matka wyszła z kuchni, by skierować się do ,,dużego” pokoju. Marek szybko zmył naczynia i poszedł do ,,małego” pokoju, który do niedawna dzielił ze starszym bratem, dopóki ten się nie wyprowadził. Biorąc ze sobą plecak, wypakował go i nie mając chwilowo ochoty na robienie niczego, konstruktywnego podszedł do okna.

Patrząc przez okno z daleka widział szare budynki swojej szkoły z okalającymi je boiskami. Do tego punktu zbiegało się wszystko, co widział za swoim oknem. Skupiając wzrok na tym, co było bliżej, wyraźnie dostrzegał jak krajobraz przed szkołą rozdziela się wyraźnie na trzy części. Lewa część obejmowała żwirową drogę, którą szedł rano do szkoły, wzdłuż której, jeszcze bardziej na lewo ciągnęły się ogrody działkowe, o tej porze roku wciąż jeszcze zamarłe, obdarzone niemożliwymi do prostego opisania barwami przedwiośnia, w których zieleń jakby próbowała pokonać wciąż królujące brązy i szarości. Prawa część wznosiła się lekko nad dwiema pozostałymi. W jej wyglądzie królowały przygniatające wszystko żółte ściany bloków, pokryte najdziwaczniejszymi malunkami, poodrapywane, niechlujne. Odcinały się wyraźnie od szarości brukowanej drogi, którą wracał ze szkoły, i od biednych trawników, których barwa teraz przypominała bardziej zginiliznę zepsutego mięsa, niż prawdziwą soczystą zieleń traw. Wyrastające na nich małe, chorobliwe drzewka, ze sterczącymi w górę cienkimi gałązkami, sprawiały smutne wrażenie na patrzących, jak spragnieni pielgrzymi beznadziejnie wyciągający swe ręce ku milczącemu niebu.

Pomiędzy jednym a drugim ciągnęła się rozpaczliwie obszerna przestrzeń garaży– niskich budynków, których ściany były wapiennie białe, a których metalowe dachy zabijały rozkosz patrzenia swoją bezdenną szarością. Jedynie drzwi każdego z nich, pomalowane w przeróżne barwy, dawały odrobinę kolorytu temu krajobrazowi monotonnemu jak życie miasteczka.

Marek jednak lubił patrzeć w tę przestrzeń, która w konkretnych porach roku i dnia, konkretnych miesiącach i tygodniach zmieniała swoje kolory, raz stając się radośnie wielobarwna drugim razem znów pełna, jak teraz, przygnębiającej monotonii, a czasem przepełniona kłującą w oczy jednostajnością ostrych barw, takich jak zimowa biel, albo czernie i granaty głębokich nocy. Teraz jednak było przedwiośnie i krajobraz świata za oknem był taki a nie inny.

Marek odszedł od okna.

Nie mógł wiedzieć, że w oknie jednego z żółtych bloków, które stanowiły część oglądanego przez niego krajobrazu, stała dosłownie w tym samym czasie Aleksnadra Kowal i również patrzyła w podobny krajobraz, zlewający się w jeden punkt którym były budynki szkolne. Jedyna różnica sprowadzała się do tego, że to co dla Marka było środkową i prawą stroną, dla niej było stroną lewą i środkową, zaś na prawej stronie jej krajobrazu królował sklep spożywczo-monopolowy ,,OdiDo” i niedalekie ławki, na których jak zwykle o tej porze pojawiali się pierwsi pijacy.

O czym oboje myśleli patrząc każde w swój krajobraz?

\*\*\*

Marek wyszedł z domu i skierował się stronę kościoła. Jego matka– Marta Janicka na razie nie wychodziła jeszcze z domu. Piła kawę, podnosząc szklankę do ust szybkimi ruchami nazbyt kościstej dłoni. Zastanawiała się, czy dać swojemu synowi dziesięć złotych dziś, czy poczekać do jutra rana. Lekki niepokój targał nią, bo myślami wciąż była przy swoim mężu, który wciąż nie wracał do domu. Wyszła na balkon i zapaliła papierosa. Bardzo rzadko pozwalała sobie na to, tylko wtedy, kiedy nikogo nie było w domu, jednak ostatnio poprzez coraz gorsze zmartwienia, coraz częściej skłaniała się do palenia, sięgając w ten prosty sposób po uspokojenie. Wypaliwszy papierosa, ubrała buty i płaszcz i wyszła do kościoła, tak jak to sobie postanowiła.

Jej syn tymczasem w zachrystii szykował się już do mszy. Ubrał białą lektorską albę, którą dopiero co pozwolono mu nosić ,,dla przyzwyczajenia” bo lektorem miał zostać za kilka tygodni. Przewiązał się cingulum i czekał aż najstarszy z obecnych ministrantów przydzieli mu funkcję. Przeznaczono go do niesienia krzyża na drodzę krzyżowej.

Matka wchodziła do kościoła. Kościół w ich miasteczku był spory. Był właściwie jednym niewielu dużych budynków w mieście. Do głównej nawy wchodziło się przez szerokie dębowe drzwi i po przekroczeniu metalowej kraty, wchodziło się w przestrzeń sacrum. Na wprost wchodzącego za kamiennym ołtarzem wisiał potężny drewniany krzyż z figurą Chrystusa, któremu rzeźbiarz wyraźnie zaznaczył mięśnie i oddał umęczony wyraz twarzy. Po jego bokach zawieszone były dwie, niemal równie ogromne, drewniane figury przedstawiające patronów parafii– św. Maksymiliana Marie Kolbego i św. Jadwigę Śląską. Wzrok każdego z wchodzących natychmiast wbijał się w figurę ukrzyżowanego Jezusa. Pod tymi figurami znajdowało się bogate, złote tabernakulum, zdobne w rzeźbione kłosy zboża i kielichy. Na prawo od ołtarza stała kamienna chrzcielnica, przykryta metalową pokrywą w kształcie kopuły z krzyżem, a na lewo od niego również kamienna mównica, potężna tak że ten kto na nią wchodził wydawał się zaraz dwa razy wyższy. Na bocznych ścianach wisiały miedzioryty przedstawiające drogę krzyżową, a pomiędzy nimi widoczne były filary, czerwienią cegieł kontrastujące z wymalowanymi na biało ścianami kościoła. W całej zaś budowli unosił się charakterystyczny zapach świec, żywicznego drewna z ławek, konfesjonałów itd., oraz tynku i czegoś nieokreślonego, co można było nazwać zapachem sacrum. Matka Marka usiadła w jednej z ławek i w tym samym niemal momencie wszedł ksiądz, i rozległa się muzyka tego miejsca. Obecni wierni chwilowy brak organisty próbowali zastąpić jak najgłośniejszym śpiewem. W niebo niosła się pieśń w której tony czyste i fałszywe, niejako siłą wspólnoty zlewały się w jeden głos:

Krzyżu święty nade wszystko

drzewo przenajszlachetniejsze,

w żadnym lesie takie nie jest,

jedno na którym sam Bóg jest.

Słodkie drzewo, słodkie gwoździe,

rozkoszny owoc nosiło.

Rozpoczynała się msza.

\*\*\*

Pod koniec mszy Marek wyniósł z zachrystii metalowy krzyż i stanął wraz z niosącymi świece młodszymi kolegami. Owionął go wyraźny zapach topniejącego wosku, zaczynała się droga krzyżowa.

(cdn)

Pieczęć z nefrytu- Adam Maksymowicz

Od blisko dwóch lat rośnie międzynarodowe napięcie. Rozpoczęła się wojna handlowa USA z Chinami. Preludium do niej była konfrontacja na linii USA – Korea Północna z powodu nuklearnych i rakietowych zbrojeń. Temu sporowi towarzyszyła niszcząca retoryka.

Kolejne spotkania i rokowania na najwyższym szczeblu, rozładowywały chwilowe napięcia. Potem zapominano o podjętych zobowiązaniach i konflikt wracał do punktu wyjścia. Po wprowadzeniu amerykańskich ceł na chińskie towary szybko zapomniano o wciąż nierozwiązanej sprawie Korei Północnej. Dopiero po kilkunastu seriach chińsko –amerykańskich rokowań okazało się, że obie strony uzgodniły zaledwie wstępne warunki pierwszej fazy porozumienia. Zostały one zaakceptowane w styczniu tego roku. O ile Stany Zjednoczone uważają to za sukces, to chińskie media podchodzą bardzo sceptycznie do tego porozumienia.

Zaledwie osiągnięto pierwsze zawieszenie broni w wojnie handlowej, a USA już wykonały egzekucję jednego z najważniejszych generałów Iranu. Władze Iraku twierdzą, że posiadał on paszport dyplomatyczny i przybył do Iraku na zaproszenie rządu tego kraju. USA temu zaprzecza. Niezależnie od tego jak było, Iran zapowiedział działania odwetowe. Azjatyckie media, szeroko komentując te wydarzenia, przytaczają fragmenty świadczące o tym, że, że niemożliwe jest trwałe porozumienie pomiędzy stronami wspomnianych konfliktów. Twierdzą one, że rzeczywistym zagrożeniem dla USA są tylko i wyłącznie Chiny. Dzieje się tak dlatego, że po raz pierwszy od czasów II wojny światowej mogą one pod każdym względem zastąpić hegemonię Stanów Zjednoczonych na świecie. Tym bardziej, że pod względem ekonomicznym już do tego doszło. USA pozostała jeszcze przewaga militarna, która też z każdym dniem maleje. Jeszcze wcześniej rozpoczęto atak na Chiny od sankcji przeciw Rosji. Chiny przyjęły to z dystansem podobnie, jak i zawirowania wokół Korei Północnej i Iranu. A to dlatego, że Chiny wyścig z USA mogą wygrać tylko pokojowo. I to nawet przy zrównoważonych siłach militarnych. Decyduje o tym wielkość populacji (1,5 mld Chińczyków), ich niezwykła pracowitość, pomysłowość oraz powszechny kult dla nauki, a także umiejętność zastosowania jej osiągnięć w praktyce. Streszcza się to w powiedzeniu, że „człowiek Zachodu pracuje, aby żyć, Chińczyk zaś żyje, aby pracować”.

Chińska sztuka wojenna

Europejczycy i ludzie Zachodu traktują Chiny tak samo, jak swoich sąsiadów, którzy nie wiele się różnią od nich samych. Pogląd ten utrwalił się w ostatnim stuleciu, kiedy z różnych powodów Chiny spadły do poziomu państw trzeciego świata. Teraz jest to już pogląd nieaktualny, ale postrzeganie Chin, tak jak każdego innego państwa, nadal się utrzymuje. Tymczasem jest to cywilizacja, która liczy sobie ponad 4 tys. lat. W tym czasie były one już mocarstwem, imperium i państwem upadłym. Jego kultura i dorobek intelektualny oraz materialny daleko wykraczają poza europejskie i zachodnie osiągnięcia.

Dotyczy to także sztuki wojennej. Na Zachodzie jest ona znana, ale ze względu na własne osiągnięcia, strategie i cele jest ona na ogół lekceważona. Sami Chińczycy nigdy oficjalnie, a nawet medialnie nie nawiązują do jej zaleceń, rad i osiągnięć. Twierdzą oni, że to już historia niewiele mającą wspólnego ze współczesnością. Jest to o tyle prawdziwe, że starożytne nauki zostały twórczo rozwinięte, wzbogacone o nowe szczegóły i treść, ale stare fundamenty nie zostały w niczym naruszone. Zastosowanie tych nowoczesnych metod możemy obserwować na linii oficjalnie toczonej wojny handlowej. Nieoficjalnie taka wojna toczy się na wszystkich innych frontach, takich jak wojna walutowa, propagandowa, informatyczna, sztucznej inteligencji, opanowania otaczających Chiny mórz i oceanów, a przede wszystkim w związku ze sztandarowym projektem Nowego Jedwabnego Szlaku zwanego „Pasem i Drogą” (Belt and Road Initiative – BRI).

Jak pieczęć nefrytu

Napisane 2,5 tys. lat temu dzieło chińskiego mędrca Sun Zi p t. „Sztuka wojenna” daje pewne wyobrażenie o sposobie prowadzenia wojny. Zalecenia i komentarze dotyczące wojny wydają się nadal aktualne. Pierwsze z nich dotyczy zamiłowania do wojny i brzmi ono następująco: „Kto kocha wojnę, doprowadzi kraj do zniszczenia, kto pożąda zwycięstwa, doprowadzi go do niesławy. Wojny nie trzeba kochać i zwycięstwa nie trzeba pożądać. Działaj tylko wówczas, gdy warunki dojrzały do zwycięstwa.”

To podstawowe zasady prowadzenia działań wojennych. Chińska nauka wyznacza wodzowi najważniejszą rolę. Tu zasygnalizujemy tylko jego pozytywne cechy. „Wychwalasz go, a nie staje się butny. Dajesz mu władzę, a nie nadużywa jej. Popierasz go, a nie spiskuje. Grozisz mu, a nie boi się. Tak oto postępowanie zdolnego dowódcy jest odporne jak pieczęć z nefrytu”.

Równie istotne są jeszcze inne zdolności i cechy jego charakteru. „Mądry dowódca potrafi rozpoznawać zmieniające się okoliczności i odpowiednio działać. Jeżeli jest rzetelny, jego ludzie nie zwątpią w pewność nagród i kar. Jeżeli jest ludzki, kocha ludzkość, jest życzliwy dla innych, docenia ich pilność i wysiłki. Jeżeli jest mężny, zwycięża, bez wahania korzystając ze sposobności. Jeżeli jest surowy, jego wojsko przestrzega dyscypliny, gdyż budzi w nich bojaźń i lękają się kary”.

Zwycięstwo bez bitwy

To historyczna i stale aktualna zasada chińskiej doktryny wojennej. Jej istotą jest wprowadzenie silniejszego przeciwnika w błąd. Aby tego dokonać, wystarczą proste podstępy. Oto jeden z nich: „Hugo Liang obozował pod Yangiping i rozkazał, aby Wei Yen i inni dowódcy, połączywszy swe siły, ruszyli na wschód. Zhugo Liang pozostawił tylko dziesięć tysięcy ludzi do obrony miasta i czekał na wiadomości. Sima Yi powiedział: >>Zhugo Liang jest w mieście, ma niewiele wojska, nie jest mocny. Jego generałowie i oficerowie upadli na duchu<<. Tymczasem Zhugo Liang był równie silny duchem jak zawsze. Rozkazał, aby jego wojska opuściły sztandary i uciszyły bębny, zabronił swym ludziom wychodzić. Otworzył wszystkie cztery bramy, zamiótł i spryskał ulice. Sima Yi podejrzewał zasadzkę i czym prędzej wyprowadził swą armię w Góry Północne. Zhugo Liang powiedział swemu szefowi sztabu: – Sima myślał, że zastawiłem na niego pułapkę i uciekł pomiędzy łańcuchy górskie. Sima później dowiedział się o tym i nie posiadał się z żalu”.

Oczywiście dzisiaj wojenny podstęp jest całkiem inny. Jedno jest w nim takie samo. To doskonała znajomość przeciwnika. To dlatego około 360 tys., chińskich studentów pobiera nauki na uniwersytetach USA, ponosząc koszt ok. 10 mld USD rocznie. Na chińskich uniwersytetach studiuje zaledwie 14 tys., studentów z USA. Porównując obie te liczby, wychodzi na to, że studentów chińskich w USA jest 25 razy więcej niż ich amerykańskich kolegów w Chinach. I to jest jedna z wielu miar uzyskiwanej stopniowo chińskiej przewagi nad USA.

Chiny – wszystko wiedzą zawczasu

Uzyskanie szczegółowych informacji o kraju, z którym prowadzi się, (lub tylko zamierza się prowadzić) wojnę, jest jednym z najważniejszych atutów, którymi chińska polityka dysponuje do starożytności. To nic nowego dla uważnych obserwatorów chińskiej strategii i taktyki wojennej. Ten styl w literaturze utrwaliła Zofia Kossak w powieści „Legnickie Pole” napisanej w 1930 r., a więc daleko przed współczesnymi wydarzeniami. Oto na rok przed mongolsko-chińskim najazdem na Śląsku pojawiają się liczne tatarskie karawany handlowe, oferujące atrakcyjne i niedrogie wschodnie towary. Odwiedzają one wszystkie najważniejsze grody, zamki, twierdze i miasta Śląska. Na kilka miesięcy przed inwazją znikają jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. O tym, że było tak, nie tylko w powieści, świadczy fakt, że na początku kwietnia 1241 r. Tatarzy ustępując spod Wrocławia, znali doskonale drogę do Legnicy. Szybkim marszem starali się zaskoczyć zgromadzone tam śląskie rycerstwo. Pod tym względem do dzisiaj nic się nie zmieniło. Zmieniły się okoliczności, sojusze, wyposażenie armii i skala przyszłych podbojów, które obecnie mają charakter globalny. Jednak chińska strategia jest ta sama, tylko dostosowana do czasów współczesnych.

Dziś szczegółowej wiedzy o krajach, którymi Chiny się interesują, dostarcza chińska nauka. Jest ona fundamentem wszystkich zmian gospodarczych, technologicznych i cywilizacyjnych. Ich symbolem jest, podbijająca rynki całego świata, firma informatyczna „Huawei”. Jej najnowszym osiągnięciem jest technologia kwantowa (5G), która uniemożliwia włamanie się do sytemu, co jest stosunkowo łatwe dla wszelkiego rodzaju hakerów, przy obecnie stosowanej powszechnie technologii cyfrowej.

**Na zakończenie trzeba powiedzieć, że wiele od Chińczyków możemy się nauczyć. Przede wszystkim nauczyć się szanować, rozwijać i korzystać z nauki w sposób powszechny i wszechstronny.**

Związek Sowiecki przeciwko komunizmowi?- Andrzej Manasterski

„Oczywiście dalecy jesteśmy od tego, aby zachwycać się reżymem faszystowskim w Niemczech. Ale nie chodzi tu o faszyzm, chociażby dlatego, że faszyzm na przykład we Włoszech nie przeszkodził ZSRS w nawiązaniu jak najlepszych stosunków z tym krajem. Nie chodzi również o rzekome zmiany o naszym ustosunkowaniu się się do traktatu wersalskiego. Nie my, którzy doświadczyliśmy hańby pokoju brzeskiego, śpiewać będziemy hymn pochwalny na cześć traktatu wersalskiego” (J. Stalin).

Powyższe słowa pokazują, że sowiecki przywódca był skory udzielić pomocy Hitlerowi w jego polityce przeciwko systemowi wersalskiemu. W podobnym tonie brzmiały słowa sekretarza generalnego Kominternu, Georgi Dymitrowa, wygłoszone podczas VII Kongresu tej organizacji w 1935 roku: „Nasza walka z barbarzyńskim faszyzmem nie oznacza, iż staliśmy się zwolennikami obłudnej i przekupnej burżuazyjnej demokracji. Tak, nie jesteśmy demokratami! Celem naszej walki z faszyzmem nie jest ustanowienie burżuazyjnej demokracji, ale wywalczenie władzy sowieckiej”.

Zawarty 25 listopada 1936 roku układ między Niemcami a Japonią, zapoczątkował tworzenie nowego systemu, w którym zasadniczym celem był podział wpływów na świecie. Jakkolwiek podpisany pakt w nazwie odwoływał się do zwalczania Międzynarodówki Komunistycznej i został nazwany Paktem Antykominternowskim, był on także skierowany przeciwko demokracjom zachodnim.

Kolejne akty, zawierane pomiędzy państwami, to: pakt stalowy, podpisany w 1939 roku pomiędzy Niemcami i Włochami oraz pakt trzech mocarstw, zawarty w 1940 roku przez Niemcy, Włochy i Japonię . Niemcy i Włochy miały pełnić zasadniczą rolę w podziale wpływów w Europie, natomiast Japonia w Azji.

Dla Stalina w połowie lat 30.realizacja planów budowy„niemieckiej przestrzeni życiowej” Hitlera była zbyt odległa, by mogła wpływać na bieżące stosunki między obydwoma państwami. Obaj dyktatorzy za głównego wroga uważali systemy demokratyczne w państwach europejskich. Po zwycięstwie Hitlera w wyborach w czasie XVII Zjazdu Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) w 1934 roku Stalin mówił: „Zwycięstwo faszyzmu należy rozpatrywać również jako objaw słabości burżuazji, jako objaw tego, że burżuazja nie jest w stanie sprawować władzy za pomocą starych metod parlamentaryzmu i demokracji burżuazyjnej, jako objaw tego, że nie jest ona w stanie znaleźć wyjścia z obecnej sytuacji na gruncie pokojowej polityki zagranicznej, wskutek czego zmuszona jest uciekać się do polityki wojen.”

Budowa sowiecko-niemieckiego systemu w duchu Rapallo trwała w najlepsze od początku rządów Hitlera. Zanim doszło do konferencji monachijskiej, która podjęła decyzję w spawie Czechosłowacji, w kwietniu 1938 roku, sowiecki dyplomata pisał do Jakowa Suricy, dyplomaty w Paryżu: „Niemcy popychają Polskę w konflikt z ZSRS. Hitler jest pewny, że nasze wojska odniosą nad Polską zwycięstwo. Gdy zajmiemy niektóre części Polski, Niemcy zrobią to samo po swojej stronie. Faktycznie realizując plan Niemiec, Polska szykuje sobie czwarty rozbiór i utratę narodowej suwerenności”. Otwartość, z jaką sowieccy dyplomaci w 1938 roku mówili o rozbiorze Polski jest znamienna. Stalin, widząc, że Niemcy nie skłonią polskiego rządu do antysowieckiej akcji, sam zaczął tworzyć warunki do rozpoczęcia wojny. W dzień po zakończeniu konferencji w Monachium, powiedział : „Bolszewicy sami będą napadać, jeśli będzie to wojna sprawiedliwa, jeśli sytuacja będzie korzystna, jeśli uwarunkowania będą sprzyjające; bolszewicy generalnie nie są przeciwnikami ofensywy, nie są przeciwnikami wojny jako takiej. To, że teraz krzyczymy o pokoju, to tylko woal, woal!”

Od Monachium Stalin swoimi decyzjami wprost informował Zachód, że nie będzie „wyciągał kasztanów z ognia” w ich interesie, ponieważ współpraca z Niemcami jest dla Sowietów korzystniejsza.

Od tego, w jaki sposób będzie podzielona Europa, zależała polityka Berlina i Rzymu względem Londynu i Moskwy. Niemcy od 3 września 1939 roku znajdowały się w stanie wojny z Anglią, dlatego Hitler zdecydował się zaproponować Stalinowi sojusz w pakcie antykominternowskim. Tym bardziej, że sojusz pomiędzy obydwoma państwami faktycznie już był, zapoczątkowany układem Ribbentro-Mołotow podpisany na Kremlu 23 sierpnia 1939 roku i realizacją podziału wpływów w Europie Środkowej i Wschodniej. Roger Moorhouse w pracy „Hitler i Stalin, Pakt diabłów”, podaje pewną ciekawostkę, wartą odnotowania:

„Kiedy rozpoczęły się negocjacje w sprawie paktu, Hitler wysłał w delegacji Heinricha Hoffmanna, fotografa, jednego ze swych najbardziej zaufanych ludzi, który miał obserwować Stalina. Potem Hitler pytał go, jak Stalin wygląda, czy ma uszy oddzielone od skóry twarzy jak u Aryjczyków, czy też przyrośnięte jak u Żydów. Hoffmann ku wyraźnemu zadowoleniu wodza odpowiedział, że oddzielone.”

12 i 13 listopada 1940 roku w Berlinie, Mołotow spotkał się z Hitlerem i Ribbentropem. Wśród wielu omawianych spraw, na uwagę zasługuje propozycja Hitlera przystąpienia Związku Sowieckiego do paktu antykominternowskiego. Sowieci mieliby otrzymać swoją strefę wpływów w kierunku Oceanu Indyjskiego, zatoki Perskiej i Morza Arabskiego. Niemcy byli zainteresowani zdobyciem dawnych niemieckich kolonii w Afryce (Niemiecka Afryka Wschodnia i Niemiecka Afryka Zachodnia). Włochy miały uzyskać tereny w północnej i wschodniej Afryce, przewidywano nawet, że kolaboracyjny rząd Vichy uzyska tereny w północno-zachodniej Afryce. Japonia zaś miała opanowałaby obszary w Azji Południowej i Wschodniej. Ponieważ obszary te były w większym lub mniejszym stopniu zdominowane przez Brytyjczyków, taki podział stanowił o faktycznym rozbiorze Imperium Brytyjskiego. Mołotow dał odpowiedź stronie niemieckiej 25 listopada. „Udział Rosji w pakcie trzech mocarstw jest całkiem do przyjęcia”, ale jej ostateczne uczestnictwo miało być uzależnione od spełnienia innych, bliższych Sowietom warunków. Czego dotyczyły? Niemcy mieli wycofać swoje wojska z terenu Finlandii, która na mocy układów za 1939 roku stanowiła strefę wpływów Związku Sowieckiego. W zamian Sowieci gwarantowali niemieckie wpływy gospodarcze w Finlandii. Japonia musiała zrezygnować ze swoich praw do koncesji na wydobycie węgla i ropy naftowej na Sachalinie. Obszary na południe od Batumi i Baku w kierunku Zatoki Perskiej miały zostać uznane za strefę sowiecką. Sowieci domagali się zapewnienia stref wpływu nad cieśninami czarnomorskimi oraz oddzielnego paktu o wzajemnej pomocy z Bułgarią, znajdującą się w strefie bezpieczeństwa Związku Sowieckiego.

Żądania Sowietów były nad wyraz wygórowane, właściwie nie dawały Niemcom żadnych konkretnych zysków, natomiast Związek Sowiecki zyskiwałby na ustępstwach w Finlandii, w Turcji (jej wschodnia cześć stanowiłaby strefę wpływów Związku Sowieckiego) i na Sachalinie. Hitler nie odpowiedział na te żądania, zaś do paktu przystępowały kolejne państwa, „zapraszane” przez przywódcę III Rzeszy: Węgry, Rumunia, Słowacja, Bułgaria, Finlandia, Dania. Dla państw bałkańskich, zbliżenie z Sowietami wiązało się z utratą ich niepodległości, zaś sojusz z Niemcami dawał im zachowanie tożsamości i względnej niezależności. Żądania Stalina, niemożliwe do zaakceptowania przez Hitlera były źródłem wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej w czerwcu 1941 roku. Po wyeliminowaniu większości państw w Europie przez Niemcy, sojusz z Hitlerem zaczął „uwierać” Stalinowi. Pozostając w przyjaźni, musiałby akceptować inicjatywę Hitlera na kontynencie, a to spowodowałoby prawdopodobny upadek Wielkiej Brytanii. Klęska Wielkiej Brytanii zaś, to z kolei osamotnienie Sowietów, wobec ich niechybnego konfliktu z Niemcami, którzy nie wyzbyli się swych aspiracji budowania „przestrzeni życiowej na Wschodzie”. Dlatego już od połowy 1940 roku oba państwa rozpoczęły przygotowania do wojny między sobą.

**Związek Sowiecki klucząc pomiędzy Niemcami a Zachodem, realizował swoje cele. Najpierw, w okresie międzywojennym, było to wejście do „koncertu państw europejskich”. Później Sowieci w sojuszu z Hitlerem zajęli terytoria państw bałtyckich i Polski. Weszli do wojny z sojusznikiem w momencie, gdy sojusz z Niemcami stał się dla nich zagrożeniem osiągania celów strategicznych w Europie.**

Spiskowe teorie

Koronawirus

Z informacji do których można dotrzeć w internecie, wynikają trzy suche fakty dotyczące koronawirusa.

Pierwszy fakt

Zespół ONZ-owskich naukowców zajmujących się klimatem, w badaniu opublikowanym w czasopiśmie BioScience (grudzień 2019 r.) wezwał do globalnej kontroli populacji, twierdząc, że jeśli nie przeprowadzi się drastycznego zmniejszenia ludzi żyjących na naszej planecie, to poważne katastrofy klimatyczne są tuż za rogiem.

Drugi fakt

Fundacja Billa i Melindy Gatesów zorganizowała pod koniec 2019 r. badania analizujące rozwój pandemii, w którym symulowano globalny wybuch koronawirusa. Tak się przypadkowo składa, że finansuje również grupę, która jest właścicielem patentu na śmiertelnego wirusa i jenocześnie pracuje nad szczepionką w celu rozwiązania ewentualnego kryzysu. W dniu 19 czerwca 2015 r. finansowany przez brytyjski rząd Instytut Pirbrighta złożył wniosek o patent na żywego koronawirusa, który został zatwierdzony 20 listopada 2018 r. „Głównym fundatorem” Pirbright Institute jest Fundacja Billa i Melindy Gatesów.

Fakt trzeci

Epidemia zaczęła się w chińskim mieście, które mieści kontrowersyjne laboratorium. Śmiercionośny wirus, zwany koronawirusem Wuhan, pojawił się zaledwie kilka lat po otwarciu tego laboratorium, w którym pracuje się z najbardziej niebezpiecznymi patogenami na świecie. Z kolei, według Business Insidera „Koalicja wspierana przez Billa Gatesa finansuje firmy biotechnologiczne”.

**Jakie są wnioski? Pewnie każdy sam je sobie wyciągnie. Na zakończenie warto jeszcze dodać, że liczba ludności Chin w 2020 roku urośnie o 3 621 000 i osiągnie 1 399 628 000 ludzi w 2021 roku.**

700-lecie odrodzenia Królestwa PolskiegoJan Lech Skowera

Wydarzeniu na miarę wielkiej historii, jakie miało miejsce w 1320 roku, należy się szczególna cześć i pamięć. Gdzie bylibyśmy dzisiaj, jeżeli w ogóle bylibyśmy jako państwo i naród, gdyby nie doszło do zjednoczenia dwóch głównych polskich prowincji oraz przypieczętowania tego zdarzenia aktem koronacji na króla Polski. W ten sposób odrodziło się Królestwo Polskie, odrodziło się państwo, odrodziła się Polska. Dzieła tego dokonał człowiek wyjątkowego umysłu i charakteru, książę brzesko-kujawski Władysław Łokietek.

W „gąszczu” polskich władców postać Władysława Łokietka nie jest dostatecznie dostrzegana, z pewnością nie należy przypisywać tego jego domniemywanemu niskiemu wzrostowi, raczej wynika z nienależytej oceny czynu jakiego dokonał. Łatwiej zapamiętać wielkie wiktorie, które na wieki utrwaliły pamięć o bohaterskich dowódcach, trudniej docenić, nawet wiekopomny, czyn nie dający światowej sławy. Czymżesz była grunwaldzka wiktoria Jagiełły, czy wiedeńska Sobieskiego w porównaniu z dziełem zjednoczenia i odrodzenia państwa? Czyny Łokietka niewielu zna i pamięta, o zwycięstwach tych pierwszych sława rozbrzmiewa do dzisiaj.

W XIII wieku myśl zjednoczenia rozproszonych ziem polskich, pozostających we władaniu lokalnych książąt dzielnicowych, przyświecała wielu z nich. Największe szanse dokonać tego mieli książęta śląscy. Śląsk był najbogatszą dzielnicą Polski, a jego władcy dysponowali największym potencjałem militarnym, dynastycznymi koneksjami oraz autorytetem w gronie piastowskich kuzynów. Przedstawiciele linii wrocławskich Henryków zdołali zapanować nad całością ziem dawnego królestwa, korona jednak im umykała.

Niemoc „dosięgnięcia” korony przełamał książę Przemysł II, powracając po wiekach do idei Królestwa Polskiego. Chociaż nie panował nad znacznym obszarami kraju, jak na przykład Piastowie śląscy to odważył się koronować na króla Polski w 1295 roku. Jego punktem wyjścia do dzieła zjednoczenia było władztwo nad Wielkopolską i Pomorzem Gdańskim.

Przepłacił ten czyn nagłą śmiercią. Został zamordowany przez Brandenburczyków w siedem miesięcy od koronacji. Tak niebezpieczna dla sąsiadów była korona i instytucja królestwa. Przez akt Przemysła II Korona Królestwa Polskiego stała się obiektem międzynarodowego „pożądania”, chociaż Królestwo jako takie nie istniało. Pretendentów do spadku po Przemyśle II – chętnych kontynuowania zapoczątkowanego przez niego procesu scalania państwa pojawiło się wielu. Do tych najpoważniejszych należał książę głogowski Henryk III – używał nawet tytułu „dux Regni Poloniae, ..” , król Czech Wacław II oraz książę brzesko-kujawski Władysław Łokietek. Henryk władał prawie całym Śląskiem, dysponował dużym potencjałem, lecz nie posiadał zdolności na miarę stojących wyzwań.

Król Wacław II to jeden z najwybitniejszych władców epoki. Wyprzedził polskich konkurentów do polskiej korony i w 1300 roku został w Katedrze gnieźnieńskiej namaszczony na króla Polski, przy wsparciu zachodnich sąsiadów, ale braku zgody ze strony papieża Bonifacego VIII. Papież nigdy nie uznał Wacława II za króla Polski. Siłą rzeczy z konkurencji musiał odpaść książę Władysław. Chociaż sytuacja wyglądała na beznadziejną, Łokietek nie poddał się, dalej prowadził walkę, nawet musząc uchodzić za granicę. Determinacja godna podziwu? Czy mógł zakładać, iż panowanie Wacława nie będzie trwało długo? Na dodatek Wacław II był od Władysława Łokietka o dziesięć lat młodszy.

Mając taką perspektywę, większość starałaby się jakoś ułożyć sobie relacje ze zwycięzcą, przynajmniej aby przetrwać. Władysław Łokietek postanowił walczyć. Z braku wystarczających sił nie mógł tego czynić orężem w kraju, rozwinął więc szeroką akcję polityczno-dyplomatyczną zagranicą. Pielgrzymował do Rzymu. W Kościele i papieżu miał swoich sprzymierzeńców, a wsparcie polityczne Stolicy Apostolskiej to był wielki atut. Papież Bonifacy VIII ostrze wydanej w 1302 r. encykliki „Unam Sanctum”, mówiącej o zależności władzy świeckiej od kościelnej – pochodzącej od Boga, skierował przeciwko dwóm najpotężniejszym ówczesnym europejskim władcom, Wacławowi II i Filipowi IV Pięknemu. Tym samym książę Władysław staje się istotnym sojusznikiem Rzymu. Papież buduje dużą koalicję wymierzoną w Przemyślidów dzierżących trzy europejskie korony: Czech, Polski i Węgier. Pretensje do korony św. Stefana, z poparciem papieża, zgłaszają Andegawenowie z racji małżeństwa Karola II Andegawena z Marią, córką ostatniego króla Węgier z dynastii Arpadów. Do papieskiej koalicji przystępuje król rzymski – cesarz, Albrecht Habsburg. Władysław Łokietek staje się „udziałowcem” potężnej koalicji składającej się z: Papiestwa, rodu Andegawenów, Habsburgów i Piastów.

W 1303 roku rozpoczyna się Władysławowy masz do korony. Papież odmawia Przemyślidom prawa do tronu Węgier, a cesarz żąda od Wacława II zwrotu Łokietkowi tronu Polski. Polityczne postulaty są niczym bez wsparcia argumentem siły. Wojska Karola Roberta andegaweńskiego uderzają na Węgry a Albrechta Habsburga na Czechy. Władysław Łokietek od strony Górnych Węgier (Słowacji) wkracza do Polski. Powrót Piasta wspiera proste rycerstwo i lud. Do antyczeskiego buntu, przez niektórych historyków określanego pierwszym powstaniem narodowym, dołączają przedstawiciele możnych rodów: Lisów, Toporów, Bogoriów.

Niespodziewana śmierć Wacława II w 1305 roku rozjaśniała perspektywę sukcesu księcia Władysława, który tytułuje się już księciem krakowskim i sandomierskim. Ostatni z Przemyślidów, młody Wacław III, szuka wyjścia z potrzasku. Wycofuje się z Węgier i zawiera pokój z Albrechtem Habsburgiem, postanawiając skoncentrować się na utrzymaniu korony Czech i Polski. Nie są to dobre wieści dla Władysława, Habsburgowie uznają prawo Czech do korony Polski. Polityczno-militarna gra trwa nadal. Teraz postanowił się włączyć do niej Henryk III Głogowski zajmując Wielkopolskę, która wypowiedziała posłuszeństwo Przemyślidom.

Wacław III zebrał dużą armię i wyruszył na Polskę, mając z pewnością w planie odbicie Małopolski opanowanej przez Władysława Łokietka i Wielkopolski, przyłączonej do Śląska przez Henryka III, a w konsekwencji koronowanie się w Gnieźnie na króla Polski. Dwaj piastowscy książęta bez wątpienia ulegliby – każdy z osobna, przeważającej sile Wacława. A jak wyglądałyby ich szanse, gdyby połączyli siły?

Czeski władca do Polski nie dotarł, został zamordowany podczas postoju wojsk w morawskim Ołomuńcu. To kolejny radykalny zwrot akcji w rozgrywce polsko-czeskiej. Nie tylko odpada śmiertelny rywal, ale kończy się dynastia, zostaje zerwana ciągłość władzy. Destabilizuje się sytuacja kraju, który chciał podporządkować sobie Polskę, a teraz sam staje w obliczu wewnętrznego zamętu, to zrywa kolejne pęta z rąk księcia Władysława. Tej sytuacji Władysław Łokietek nie mógł nie wykorzystać. 1 września 1306 r. odbyła się pod Wawelem swoista elekcja, wiec mieszczan oraz rycerstwa, w obecności biskupa, obwołał księcia Władysława panem.

Upadek starożytnej dynastii Przemyślidów pozwolił Łokietkowi zająć się sprawami krajowymi. Nie wszyscy chcieli uznać jego zwierzchność. Przeciwników miał więcej niż zwolenników. Trudno było doszukiwać się wśród możnych i lokalnych książąt zrozumienia polskiej racji stanu, każdy szukał sposobności do ugrania jak najwięcej dla siebie. Wizję zjednoczonego Królestwa Polskiego miał bez wątpienia książę Władysław. Od krakowskiej elekcji występował w imieniu Królestwa, nawet jeśli jego nominalni poddani nie chcieli tego uznać. Kluczowym zadaniem było opanowanie Wielkopolski. Tam nie było prawych dziedziców do lokalnego tronu, tak jak na Śląsku i na Mazowszu.

Możliwym do utrzymania, ponieważ już je opanował, było również Pomorze Gdańskie, jako dziedzictwo po Przemyśle II. Poddane księciu Władysławowi Pomorze najechali Brandenburczycy. Książę, zaangażowany w wewnętrzne sprawy Rusi Halickiej sam nie mógł pójść z odsieczą, poprosił więc o pomoc zachowujących się dotychczas neutralnie, a nawet życzliwie, Krzyżaków. Ci odparli najeźdźców i zagarnęli Pomorze w 1309 roku dla siebie. To był największy błąd Władysława Łokietka, jaki w życiu i w walce o zjednoczenie Polski popełnił.

Wewnętrzną walkę z oponentami Łokietek musiał prowadzić dalej, ale świadomie dążył do celu – Korony Królestwa Polskiego. Zdobywają coraz większe wpływy zaczął używać wymownego tytułu: księcia Królestwa Polskiego. Nikt nie mógł mieć wątpliwości dokąd zmierza.

W połowie 1318 roku obyły się dwa odrębne wiece rycerskie. Jeden w Sulejowie, który zgromadził rycerstwo ziem Małopolski, a drugi w Pyzdrach z rycerstwem wielkopolskim. Celem tych wieców było zatwierdzenie starań o odrodzenie Królestwa Polskiego. W 1319 roku papież Jan XXII odpowiedział pozytywnie na supliki polskie, powołując się na wielowiekową wierność Kościołowi i obronę chrześcijaństwa przed najazdami pogańskich sąsiadów, udzielił zgody na koronację Władysława Łokietka na króla Polski.

Dokładnie w pięć miesięcy po wystosowaniu do arcybiskupa gnieźnieńskiego przez papieża bulli, w dniu 20 stycznia 1320 roku doszło do koronacji księcia Władysława Łokietka na króla Polski. Nastąpiło odrodzenie Królestwa Polskiego, przedłużenie bytu polskiej państwowości do roku 1795.

Świadkiem jedynym tej ceremonii jest miecz koronacyjny – Szczerbiec. Insygnia koronacyjne, którymi od czasów Władysława Łokietka do Stanisława Augusta Poniatowskiego koronowali się wszyscy późniejsi królowie zostały po powstaniu kościuszkowskim zrabowane przez prusaków z wawelskiego skarbca, wywiezione i przetopione na złote monety.

**Odtworzone w 2003 roku przez zespół polskich naukowców znajdują się obecnie w posiadaniu Rycerskiego Zakonu Korony Polskiej Świętego Kazimierza Królewicza.**